MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 12. WARSZAWA, 8 MARCA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

KONSTYTUCJA MARCOWA JAKO FAKT POLITYCZNY

O WADACH Konstytucji marcowej wypowiedziano już sądów niezmiernie wiele. Wnet po jej uchwaleniu poddano ją krytyce zarówno ze strony politycznej, jak prawnej. Nie dziw przeto, że w opinji społeczeństwa ustalił się pogląd na Konstytucję marcową, jako na dzieło nietylko niedoskonałe, ale wręcz poronione. Idąc dalej po tej linji, obarczono odpowiedzialnością historyczną za nadanie państwu nieodpowiedniego ustroju naszą Konstytuantę czyli t. zw. Sejm Ustawodawczy, zarówno jego prawicę, jak i lewicę, a w szczególności niektórych posłów, którym przypadła w udziale wybitniejsza rola przy tworzeniu Konstytucji marcowej.

Nie mam zamiaru apoteozować tej Konstytucji, ani nawet przeprowadzać jej rehabilitacji. W swoim czasie wyraziłem o niej swój sąd krytyczny w mych pracach naukowych i publicystycznych. Obecnie chodzi mi nie o ocenę jej jako elaboratu prawno-politycznego, ani o zestawienie jej koncepcyj ustrojowych z warunkami lokalnemi i czasowemi ich zastosowania, ale o spojrzenie na nią, jako na fakt polityczny.

Fakt ten, jak wszelki inny, możemy badać z dwóch odmiennych punktów widzenia: analizować jego przyczyny i skutki, a więc stosować do niego kryterjum przyczynowości, albo też rozpatrywać go na podstawie celowości, przyjąwszy pewne założenie, jak w danym wypadku rozwoju polskich instytucyj państwowych, wpływu tego faktu na kształtowanie się losów państwa.

Jakikolwiek wypowiemy sąd o Konstytucji marcowej, jako koncepcji ustrojowej, uznać musimy, że oceniając ją, jako fakt polityczny, wyłączyć musimy moment dowolności i przypadkowości. Jestem skłonny ograniczająco ujmować rolę i znaczenie w jego wytworzeniu nietylko jednostek, ale i grup. Jednostki te i grupy były bowiem tylko wykonawcami wyższego prawa, prawa socjologicznego, stanowiły z jednej strony wykładnik epoki, z drugiej strony dawały wyraz temu, co w nich jako pojęcia, dążenia, uczucia, temperamenty przekazały w dziedzictwie wieki.

Że Konstytucja marcowa, jako pierwsza Konstytucja odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej, powstała w tej postaci, w jakiej ją uchwalił Sejm Ustawodawczy, nie było to dziełem przypadku, „intrygi politycznej", braku doświadczenia lub nieudolności twórców, ale stanowiło konieczność historyczną, uwarunkowaną 1° epoką, w której powstała, 2° tradycjami państwowemi Rzeczypospolitej przedrozbiorowej.

Nic tak nie rzuca właściwego światła na Konstytucję marcową, jak zestawienie jej z konstytucjami, które powstały w Europie współcześnie, t. j. po wojnie światowej. Ciekawej tej pracy dokonał senjor konstytucjonalistów polskich, prof. Stanisław Starzyński („Powojenny ustrój państw europejskich", wydanie drugie, Kraków, 1926). Materjał porównawczy miał olbrzymi: a więc państwa, które wskutek wojny usamodzielniły się bądź na nowo powstały (Polska i Gdańsk, Czechosłowacja, Finlandja, Estonja, Łotwa, Litwa z Kłajpedą, Jugosławja, Irlandja, Islandja, a poza Europą Egipt i Indje); dalej państwa, które przeszły głębokie reformy wewnętrzne (Hiszpanja, Włochy), wreszcie państwa, które zmieniły formę rządu (Turcja, Grecja, Węgry, Niemcy, Austrja, Rosja).

Na podstawie zbadania tego materjału można wykryć i ustalić wspólne rysy Konstytucyj wszyst-

kich państw, które w wyniku wojny światowej uzyskały niepodległość. Najogólniej formułując charakter tych cech wspólnych, stwierdzić wypada, że wszystkie one stoją na gruncie demokracyj parlamentarnych.

Pierwiastek demokratyczny, w postaci bardzo posuniętej, jest im wszystkim właściwy, znalazł on wyraz np. w strukturze parlamentu w tych państwach, jak to: w przewądze izby poselskiej nad izbą wyższą, bądź w jednoizbowości, wreszcie w referendum.

Demokratyczny i liberalny charakter tych Konstytucyj był ich cechą powszechną, stanowił zjawisko, którego przyczyny łączyły się z całym nastrojem społeczeństw, które przebyły wielką wojnę, a który zapanował w pierwszych latach po zawarciu pokoju. Były więc konstytucje te wyrazem wielkiego prądu, który wprawdzie niebawem się załamał o trudności okresu powojennego, ale w momencie ich powstawania był bardzo silny.

Oprócz tej ogólnej przyczyny, w Polsce działały na rzecz ukształtowania ustroju państwowego na modłę demokratyczną i liberalną tradycje wolnościowe przedrozbiorowej państwowości polskiej, tradycje rządów sejmowych, gwarancyj obywatelskich i t. p.

Niezwykle interesujące byłoby wyczerpujące rozważenie przepisów Konstytucji marcowej z tego stanowiska, o ile w nich wyraziły się cechy psychologji narodowej narodu polskiego. Studjum takie byłoby ważne i z praktyczno-politycznego punktu widzenia, z niego bowiem moglibyśmy wysnuć, jakie są granice reform ustrojowych w Polsce, po jakiej linji one iść mają, boć rzecz jest przecież jasna, że wszelkie reformy ustrojowe, któreby nie liczyły się z cechami polskiej psychologji narodowej, byłyby nieżywotne i zgóry skazane na niepowodzenie.

Konstytucję marcową rozumiemy, jako fakt polityczny. Ale jako taki, musiała ona wywrzeć wpływ na dalszy rozwój państwowości polskiej. Jaki był to wpływ?

Nie jestem zwolennikiem t. zw. sejmowładztwa, ani wogóle, ani w Polsce w szczególności. Jest to bowiem system jednostronny, nie zawierający odpowiednich przeciwwag, korygujących i uzupełniających jego działanie. Prostotę jego własnej struktury uzupełniać musi przynajmniej wykończony system organizacji stronnictw politycznych.

A jednakże pomimo, iż tych danych w Polsce nie było, pomimo, że z natury rzeczy musiały rządy sejmowe we wskrzeszonej Polsce napotykać na liczne trudności, to jednak system ten ma za sobą nietylko „minusy". Elastyczność jego uchroniła państwo nasze od wielu wstrząśnień w pierwszych latach, kiedy to państwo nie było dostatecznie zorganizowane i spojone. Współpraca w Sejmie przedstawicieli różnych b. zaborów działała bardziej unifikacyjnie, niżby to było możliwe w ramach jakiegokolwiek systemu innego, np. biurokratyczno-policyjnego. Wreszcie, historyczną zasługą Sejmu Ustawodawczego jest fakt, że odrzucił on koncepcję federalistyczną, a w szczególności, że przeprowadził wcielenie Wilna do Polski.

Obecnie, w świetle praktyki wyborczej z r. 1928, a zwłaszcza 1930, z roli, jaką kresy wschodnie odegrały w wytworzeniu przedstawicielstwa Bloku Bezp., widzimy, że koncepcja federalistyczna była nietylko koncepcją stosunku naszego do narodów ościennych, ale że jej zrealizowanie potrzebne było dla celów polityki wewnętrznej: panowania Wschodu nad Zachodem w państwie polskiem.

Bezpośrednim skutkiem uchwalenia Konstytucji marcowej było nieprzyjęcie prezydentury przez ówczesnego Naczelnika Państwa — J. Piłsudskiego. Wskutek tego obóz, który dzisiaj Polską rządzi, który teraz w ciągu niespełna pięciu lat wykazał swe metody polityczne, doszedł do władzy dopiero po upływie dalszych czterech lat. Obóz ten nie zdołał dokonać naprawy ustroju, ale sprawił duży zamęt w polskich stosunkach politycznych. Te skutki byłyby cięższe i głębsze, gdyby dojście do władzy tego obozu nastąpiło wcześniej, kiedy państwo było jeszcze mniej skonsolidowane. Bodaj-że w tem zawiera się najważniejsze znaczenie Konstytucji marcowej, jako faktu politycznego.

WACŁAW KOMARNICKI

ABSOLUTYZM POLITYCZNY A ŻYCIE GOSPODARCZE

HISTORJA ustroju Polski dostarcza znakomitego przykładu na ścisłą zależność absolutyzmu politycznego od jego stosunku do życia gospodarczego, t. j. od tego, w jakim zakresie życie owo potrafi on opanować.

W pierwotnej Polsce, tj. wczesnopiastowskiej, punktem wyjścia dla powstania państwa była siła reprezentowana przez dynastję. Siła ta zdecydowała o wyłonieniu się dynastji, a wraz z nią i państwa. Różnie zresztą można i trzeba oceniać tę potęgę, zależnie od tego, jak się ujmie siłę czynników, które dynastji piastowskiej mogły się przeciwstawić i które ona musiała skłonić do uległości. Zdaje się, że takich czynników wogóle nie było. Jeden, któryby poważnie mógł wchodzić w rachubę, tj. państwo Wiślan, zwalony został przez księcia Wielkich Moraw. Niewątpliwie słuszne jest zdanie tych uczonych, którzy jedną z głównych przyczyn, umożliwiających ukształtowanie Państwa Polskiego, widzą w braku czynników siły poza dynastją piastowską.

Kiedy już państwo się ukształtowało, położyło ono rękę na życiu gospodarczem i to w sensie dwojakim: raz przez uzyskanie prywatnej własności na rozległych obszarach pustkowi, które, kolonizowane, bądź pokojowo, bądź jeńcami wojennymi, stawały się źródłem zysku gospodarczego dla panującego. Dzisiaj określibyśmy tę cechę ustroju skarbowego państwa piastowskiego mianem etatyzmu. Było to źródło dochodów, które odgrywało rolę i w czasach znacznie późniejszych. Walka o „egzekucję dóbr", która rozpętała się w wieku XVI, mając na celu odebranie magnatom nieprawnie zajętych majątków królewskich, u źródła swego warunkowana była chęcią przerzucenia przez stan szlachecki ciężaru utrzymania państwa (w głównej

jego części) na majątek królewski. Dlatego też wówczas, obok walki o egzekucję dóbr, toczono walkę o podwyższenie świadczeń starostów, zarządzających dobrami królewskiemi, nakładając na nich nowe świadczenie, t. zw. kwartę, przeznaczoną na cele wojskowe.

Wtedy jednak, kiedy walka ta się toczy, t. j. w wieku XVI, rozkładowi wyraźnemu uległ inny odcinek skarbowości państwowej. Wpierw o nim słów parę.

A mianowicie dawne państwo piastowskie czerpało źródła dochodu nietylko z dóbr, pozostających prywatną własnością panującego (tj. państwa), ale i z systemu monopoli i podatków. Dwie ostatnie grupy określane były mianem „ciężarów prawa książęcego". Otóż ten kompleks uprawnień, wysysający przeważną część dochodu społecznego, ulega rozkładowi w XIII wieku, w którym t. zw. immunitet znosi system monopoli i ciężarów prawa książęcego, zastrzegając księciu tylko niektóre monopole, a z ciężarów prawa książęcego podatek gruntowy i niektóre służebności wojskowe. W stosunku do rycerstwa najdalej idące ograniczenia zawiera przywilej koszycki z r. 1374, w którym panujący ogranicza podatek gruntowy do 2 gr. z łanu rocznie. W konsekwencji (choć tego wyraźnie nie powiedziano) każdy wyższy podatek wymagał zgody uprawnionych.

Z kolei widzimy, jak z momentem utraty rozporządzalności dochodu społecznego łączy się rozkład pierwotnego absolutyzmu politycznego. Albowiem państwo (panujący), starając się o zgodę na nadzwyczajne podatki, umożliwia powstanie reprezentacji stanowej, która bynajmniej nie ograniczy się do zezwalania na podatki, ale wnet potem sięgnie po współwładzę w państwie. W Polsce stało się to bardzo rychło, bo ustawa „*nihil novi*", warująca szlachcie współdecyzję w sprawach ustawodawczych, przyszła w sto trzydzieści lat po przywileju koszyckim.

I teraz rozpoczęła się nowa doba, absolutyzmu politycznego szlachty, jako konsekwencji opanowania przez nią przeważnej części dochodu społecznego. Ten absolutyzm polityczny nie był jednak mądry, tj. szlachta nie zdawała sobie sprawy, że do ruiny nietylko państwa, ale i jej, jako warstwy, prowadzi absolutyzm, który nie łączy się z zajęciem się potrzebami państwa. Posiadając pełnię władzy państwowej, szlachta nie potrafiła ani wyłonić organów dla sprawowania tej władzy (te, które były, doprowadziła do rozstroju), ani zaopatrzyć państwa w odniesieniu do jego najważniejszych potrzeb.

Nie chodzi nam tu jednak o ocenę szlachty w okresie t. zw. rzeczpospolitej szlacheckiej, chodzi o coś innego, a mianowicie o zademonstrowanie na przykładzie dziejów Polski, jak koniecznie warunkowany jest absolutyzm polityczny opanowaniem przez siebie życia gospodarczego. Jeżeli go nie opanuje, runie; jeżeli opanował, to rozkład jego rozpocznie się w tym momencie, kiedy życie gospodarcze zacznie mu się wymykać z rąk. Stwierdzając ponadto, że początki absolutyzmu politycznego łączą się z momentem siły i stoją zrazu przeważnie poza zakresem życia gospodarczego, zastrzegamy się też, że do tej chwili chodziło nam tylko o stwierdzenie podkreślonego wyżej związku, bez wdawania się w ocenę pożytku absolutyzmu politycznego wraz z jego stosunkiem do życia gospodarczego. Nim do tego przejdziemy, chwilę uwagi poświęćmy innym przykładom, popierającym wspomnianą główną tezę. Przykłady te czerpać będziemy z czasów nam bliższych od piastowskich.

A więc przypomnijmy sobie istotę walki, toczonej pomiędzy ludnością polską a rządem niemieckim w b. zaborze pruskim. Przedstawił ją w swem dziele p. t. „*Die Polenfrage*" prof. Ludwik Bernhard, podkreślający, że „organizacja walki ze strony Polaków pod rządem pruskim jest i pozostaje dziejową ilustracja tego, jak mniejszość narodowa może utrzymać swą samodzielność, co więcej, jak może ją wzmocnić w stosunku do wiele przeważającej nad nią władzy państwowej". Na jakimże odcinku toczyła się ta walka? Na odcinku walki o kredyty. W chwili, kiedy Polakom udało się zmobilizować pewien zasób kredytów, umożliwiający pomoc pieniężną dla własności rolnej, walka polityczna została przez państwo niemieckie przegrana. Widzimy zarazem, jak walka o życie gospodarcze toczyć się może nietylko na odcinku monopolowo-podatkowym, ale w podobnej mierze na odcinku kredytowym (do czego dodać należy jeszcze zagadnienie ceł). Pamiętajmy, że wskazania, czerpane z walki mniejszości polskiej w państwie pruskiem, stały się dziś podręcznikiem walki mniejszości z państwem wogóle, gdy chodzi np. o stosunek mniejszości ruskiej do Państwa Polskiego. Odnosi się wrażenie, jakoby posługiwano się książką Benharda jako podręcznikiem. To samo dotyczy i gospodarczego organizowania się żywiołów niepolskich na ziemiach zachodnich. Zarazem wynika najjaśniej wniosek, że walka o opanowanie mniejszości będzie walką o opanowanie źródeł kredytów. Z tego wynika, jak doniosłe znaczenie mieć mogłaby emigracja amerykańska, gdyby stanowiła źródło kredytu dla ludności pozostałej w kraju.

Współczesne dyktatury mają także silną tendencję do opanowania życia gospodarczego w dziedzinie kredytów. Przykładem tego zmonopolizowanie banków w ręku państwa. Nie należy mieszać tego z t. zw. etatyzmem. Dzisiejsze dyktatury chętnie posługują się etatyzmem, ale geneza jego jest odmienna. Etatyzm wyrasta w wieku XIX jako próba rozwiązania kwestji socjalnej. Zdawało się, że prowadzenie gospodarstwa na rachunek państwa usunie moment wyzysku ze strony prywatnego przedsiębiorcy. Zarazem zaś etatyzm był formą opanowania życia gospodarczego przez rządzące demokracje. Absolutyzm polityczny demokracji miał bowiem takie same tendencje, jakie objawia każdy czynnik, dążący do przeważnej władzy w państwie.

Dotąd osiągnięte wyniki pozwalają na dalsze precyzowanie zagadnienia. Jeżeli więc absolutyzm polityczny, względnie, jak dzisiaj, dyktatura, warunkowane są opanowaniem życia gospodarczego, to wynika z tego, że fakt ten nastąpi łatwiej w kraju, w którym życie gospodarcze jest słabe, niż w kraju, w którym ono jest mocne. Dlatego bogaty wiek XIX był dobą liberalizmu politycznego i dlatego dzisiaj o dyktaturze najmniej słychać w krajach, w których życie gospodarcze nie przedstawia się źle. Daleką np. jest myśl o dyktaturze we Francji, a i Anglja, choć przechodzi kryzys rynków zbytu, bezrobocia i t. d., ma jeszcze takie zapasy dawniej nagromadzonych bogactw, że kwestja dyktatury nie jest tam kwestją godzin, chociaż memorjał Mosleya daje pod tym względem dużo do myślenia.

Obecnie przechodzimy do paru słów oceny. Jeżeli absolutyzm polityczny (dyktatura) po opanowaniu życia gospodarczego chce utrzymać się przy władzy, musi używać do tego masę ludzi stojących do jego dyspozycji; przykładem: milicja faszystowska.

Kosztuje to bardzo wiele. Absolutyzm polityczny, dążący do uzależnienia od siebie największej ilości ludzi, chętnie posługuje się „etatyzmem", w którym rolę czynników gospodarczych przyjmują ludzie, stojący w bezpośredniej zależności od państwa, jego urzędnicy. Wiemy zaś aż nadto dobrze, jak niewydatny jest gospodarczo etatyzm, jak usuwając prywatnego przedsiębiorcę, zarazem zamyka źródła dochodów podatkowych; z drugiej strony wydajność gospodarcza przedsiębiorstw państwowych nie rekompensuje braku podatków. Utyka więc gospodarstwo, prowadzone na rachunek państwa (z punktu widzenia jego dochodowości), ugina się pod ciężarem świadczeń i uzależniania gospodarstwo prywatne. Jeśli w konsekwencji dochodzi do pustek w skarbie, to trzeba iść zagranicę po pożyczki. A jeśli się prosi o pieniądze, trzeba zmienić język polityczny. I widzimy takie paradoksy, że rząd silny, brutalny na wewnątrz, bardzo a bardzo zmienia ton, mięknie nazewnątrz.

Podnoszono wielokrotnie w prasie, opierając się pod tym względem na obserwacji stosunków współczesnych, że spadek waluty stanowi moment krytyczny dla *regime*'u wszelkiego rodzaju, że powoduje rewolucje wojskowe. Niewątpliwie działać będzie w ten sposób i w krajach, pozostających pod rządami dyktatury. Tylko tutaj poczynić trzeba pewne bardzo ważne zastrzeżenia, a mianowicie: dyktatura, rozporządzając dużą dozą władzy, może przez system pożyczek, zaciąganych zresztą na coraz gorszych warunkach, utrzymać się przy władzy dłużej, niżby to było możliwe przy innym typie władzy. Dziedzictwo dyktatury będzie więc— w tym wypadku — cięższe, niż dziedzictwo innego rządu. Jeżeli zaś katastrofa walutowa jednak przyjdzie, względnie jeżeli dojdzie do katastrofalnego załamania życia gospodarczego na odcinku niewalutowym (np. zanik wpływów podatkowych), to fakt ten podcina dyktaturę z tej przyczyny, że przestaje ona panować nad życiem gospodarczem, że jej się to życie z rąk wymyka, że przestaje istnieć główna zasada, na której spoczywa koncepcja dyktatury.

Drugi moment krytyczny dla dyktatury wiąże się z okresem wydatnego polepszenia życia gospodarczego. Jak długo pozostaje ono na łasce i niełasce czynników rządzących—to pomijając moment katastrofy — nie skłonne jest sekundować prądom, rozkładającym *regime* absolutny. Zupełnie jednak zmienia się sprawa w momencie polepszenia konjunktury gospodarczej, zwłaszcza w zależności od konjunktury światowej. Jeśli ona gospodarstwu prywatnemu sprzyja, jeśli życie gospodarcze poczyna nabierać oddechu, poczyna uniezależniać się od państwa (drogą bezpośredniego uzyskiwania kredytów) — nadchodzi niewątpliwy moment krytyczny dla absolutnego władztwa politycznego.

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI

NA TLE PARYŻA

PARĘ ostatnich książek swoich poświęcił Leon Daudet własnym przeżyciom paryskim *(„Paris Vécu". 1-re Série: „Rive Droite"; 2-me Série: „Rive Gauche". 1930).* Są to wspomnienia na tle widoków Paryża, obejmujące pół wieku zgórą życia autora i jego miasta rodzinnego.

Od bardzo dawna łączą mnie bliskie stosunki z L. Daudet'em, nawiązane po raz pierwszy w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Wśród książek, dostarczanych mi przez przyjaciół do tego więzienia, znalazłem kiedyś jedną z pierwszych powieści L. Daudet'a p. t. *„Les Morticoles"* (1894 r.), której treść dość żywo mnie zajęła. Stąd, być może, pochodzi moja słabość do tego autora, którego później sam poszukiwałem i czytałem zawsze z niesłabnącem zainteresowaniem. Zresztą jest to zasługą jego ogromnego talentu literackiego, różnostronnej wiedzy i niezwykłej niezależności duchowej w stosunku do życia, ludzi oraz ich spraw.

Z licznych prac L. Daudet'a najwięcej wartości posiadają, podług mnie, jego rozprawy i studja filozoficzno - naukowe, literackie, polityczne etc., Autor ich jest mistrzem „szkicu" — czy „próby" *(Essai)* — rozprawy suggestywnej, żywej i barwnej, w której jasność myśli i ścisłość rozumowania łączą się ze świeżem, oryginalnem — nie będącem powtórzeniem wszelkich banalności, będących w obiegu — ujęciem charakteru rzeczy i zjawisk.

Tem się odznaczają i jego rozmaite „wspomnienia", pisane nadto z niezwyczajną werwą, dowcipem i dosadnością słowa. Do „wspomnień" zaliczyć można dwie, wyżej wymienione, książki, poświęcone przeżyciom paryskim.

L. Daudet ma o czem wspominać! Od najwcześniejszych lat, dzięki stosunkom swego ojca, obracał się wśród ludzi, którzy w świece nauki, literatury, sztuki, polityki i t. p. odgrywali wybitną rolę w życiu Paryża, bądź całej Francji. Zawczasu poznał „blaski i nędze" istnienia ludzkiego, dole i niedole, cnotę i nikczemność, prawdę i fałsz.

Poznawał to wszystko następnie w szerszej skali, na własną rękę, przez szereg lat, gdy sam wszedł w życie i oddał się rozmaitym jego sprawom. Przeżył dużo i walczył o wiele rzeczy — jako dziennikarz i publicysta, jako polityk czynny i szef jednego ze stronnictw politycznych. Przeżył również niemało jako wielki miłośnik życia, chciwy poznania jego rozmaitych form i zjawisk, jego uroków i tajemnic: zawodzony nieraz, a nawet ciężko doświadczany przez nie [1]), nie tracił nigdy odwagi życia, chęci walki o to, co uważał za zadanie i cel bytu własnego.

W ciągłym ruchu, w zetknięciu się z różnemi sferami swego społeczeństwa, w nieustannym zatargu bądź przymierzu z mnóstwem ludzi, zdobył ogromne doświadczenie życiowe, posiadł mądrość, gardząc pozorem oraz tymi, co mu hołdują. Im to szczególniej daje się we znaki, odsłania pustkę dusz, nicość dążeń, smagając nieraz do krwi, nieoszczędzając najwyżej postawionych. Wrogów ma bez liku, ale i przyjaciół niemało, do których jest serdecznie przywiązany. Zresztą o wrogach jak i przyjaciołach

[1]) Leon Daudet stracił przed kilkoma laty ukochanego syna, zamordowanego, jak są poszlaki, przy współudziale policji politycznej.

mówi zawsze z jednakową szczerością, bez ogródek, zwłaszcza gdy jest co zabawnego do powiedzenia o nich, jeśli to, lub owo z ich życia, nadaje się do groteski, w której celuje. Ta skłonność wszakże nie osłabia w nim daru odczuwania wzniosłych i tragicznych stron bytu ludzkiego, daru wzruszania się widokami niedoli i współczucia tym, co jej doznali w życiu.

Tego rodzaju człowiek, taki pisarz — opowiada o swoich przygodach w Paryżu, o swoich stosunkach z jego mieszkańcami oraz instytucjami rozmaitemi; mówi o tem, czego był świadkiem w tej lub innej dzielnicy miasta, z kim i jak żył, kogo tu bądź tam spotykał; — wędruje wciąż, wspominając to lub owo, po wszystkich niemal ulicach Paryża, charakteryzuje ludzi i mury, odsłania duszę jednych i drugich.

Tchnie z tych kart wielkie ukochanie rodzinnego miasta, obawa o jego przyszłość. „Jest to miasto płomienne i zagrożone“—powiada Daudet.— „Mieszczą się w niem miłości i nienawiści, które zaludniają jego noce, oraz prace, co wypełniają jego dni. Jest ono zagrożone przez ludy sąsiednie, a to pod różnemi postaciami — od bombardowania do imigracji. Zagraża mu polityka i, jak Francji, ustrój republikański. Zagrażają mu jego nędzarze, jego zgłodniali, zbuntowani, włóczęgowie, sutenerzy i ćmy nocne. Jest ono zagrożone przez swoje występki, wypływające z jego przyjemności“.

Jest to miasto uroków nieoczekiwanych, wstrząśnień nagłych. Tu, jak nigdzie w świecie, uderzy nas niespodziewanie piękno — w ciele, we wzroku, w głosie kobiety; albo nastąpi wybuch dowcipu, dokoła stołu, czy też wybuch światła i barwy, na jakiejś wystawie obrazów, bądź znów wybuch współczucia oraz litości i zgrozy — wobec wielkiego dramatu ludzkiego.

Urok Paryża polega także na tem, iż jest to jedyne miasto pod słońcem, gdzie nie mają szacunku dla wszystkiego, co jest uroczyste i napuszone, gdzie człowiek „na stanowisku“ nie wchodzi w rachubę: tu prawie wszystko obraca się w żart, a jedno zabawne słowo porywa i zmiata wszystko.

I w tem, podług autora, objawia się najistotniej dusza Paryża „paryskiego”, nie zaś w akademjach, wypełnionych pyszałkami, nie w jego murach, bankach, teatrach i gdzieindziej.

Sam autor jest najdoskonalszym wyrazem tego, prawdziwie paryskiego, charakteru Paryża. Jego język, jego dowcip, jego „blaga“ t. j. branie innych „na fundusz“ i kpienie z nich w oczy; jego nagła napastniczość, przy zachowaniu pewnej dobroduszności, nie mówiąc już o żywiołowej pogardzie dla tego, co oficjalne, nadęte, obleśne i świętoszkoskie, — wszakże są to cechy i usposobienia iście paryskie!

Do *„bêtes noires”* L. Daudet'a należy, między innemi, Akademja Francuska. „Instytucja ta“ — powiada — „stała się, z powodu upodlenia demokratycznego i wtargnięcia polityków, raczej szkodliwą niż użyteczną dla literatury francuskiej“, następnie utrzymuje, że liczni „krętacze, kombinatorzy, nicponie“ (wymienia niejednego), a w dodatku ludzie bez prawdziwego talentu, którzy tam weszli, wprowadzili „do tego Klubu, rzekomo światowego, obyczaje cuchnące kuluarów Izby, z dodatkiem czegoś jeszcze bardziej zwietrzałego, nędznego, oślizgłego i uciesznego, jeśli to możliwe“. Z innego punktu widzenia, Akademja—podług L. Daudet'a— jest gasicielką oryginalności. Odtrąciła ona od siebie „wysokie osobistości prozy i poezji francuskiej“ (Balzac'a, Baudelaire'a, Michelet'a, Flaubert'a, Alfonsa Daudet'a, Goncourt'ów, Maurras'a i t. p.) natomiast przyjęła z otwartemi ramionami mnóstwo wszelkiego rodzaju „odpadków, bencwałów, salonowców i pod-pachołków“ (od J. Aicard'a do C. Jonnart'a), których nazwiska pobudzają do serdecznego śmiechu. Z tych więc powodów — konkluduje autor — spadła ona do zera w oczach tych wszystkich, którzy znają rzeczy, umieją myśleć i nie pożądają jej mizernych foteli. Nieco uroku — na prowincji i zagranicą — dodają jej generałowie i marszałkowie Wielkiej Wojny, których słuszną sławę zresztą ona zniwelowała, stłumiła, jak to robi ze wszystkimi ludźmi wartościowymi, powołanymi do gry perjodycznej współzawodnictw oraz pracy, znikomej i próżnej, nad słownikiem...

Po tym nieubłaganym, pełnym wzgardy, osądzie instytucji, reprezentującej oficjalnie „prozę i poezję“ francuską, przenieśmy się do dzielnicy Montmartre, po której autor oprowadza czytelnika, wspominając wciąż rozmaitych pieśniarzy jej, słynnych w świecie, niegdyś przynajmniej, kabaretów artystycznych. Jakże odmienny jest sąd Daudet'a o tych nieoficjalnych przedstawicielach poezji francuskiej! „Nasłuchałem się do syta Hyspa, Delmet'a, Legay'a, Bonnaud'a, Montoy'a. Couyba (późniejszy minister i senator), jest moim drogim współuczniem z liceum Louis le Grand“ — powiada autor. „Są to, podług mnie, artyści często zachwycający, zawsze interesujący, związani ściśle z życiem trudnem, cierpkiem, czasem dzikiem; wyżsi są oni od jakiegoś Sully Prudhomme'a, od Aicard'a niema co mówić, od Richepin'a, od takiego zręcznego fabrykanta, jak José Maria de Heridia“. (Dodajmy od siebie, że wszyscy oni byli członkami Akademji). „Pod względem politycznym”—ciągnie autor dalej— „odznaczają się ci nieregularni poeci niezależnością, która sprawia ulgę. Należąc do cyganerji, która „niedoszła“—w sensie burżuazyjnym tego wyrazu— i z trudem opłacając swoje komorne, stoczyli się oni do tej niepodległości jak pliszka w kałużę, obryzgując swojemi cudactwami, szczutkami, kropelkami gryzącemi i świetnemi, wszystkich kretynów, wszystkie kanalje, wszystkie miernoty oraz świętoszków, którzy doszli do zaszczytów *régime*'u, do dekoracyj, urzędów i akademij. Za to jestem im nieskończenie wdzięczny, To byli, lub są, ludzie ubodzy, co najmniej nie bogaci, ale dzielni. Dlatego nie upodlili się i nie pomniejszyli.

Cześć poetom i piosenkarzom montmarckim, jakiemikolwiek są ich dążności, związki oraz usposobienia“...

Podczas gdy poeci „regularni“, uznani, którzy znajdują miejsce w rozmaitych „Antologjach“ i Akademjach są najczęściej aranżerami słów i ustawiaczami dekoracyj, kochankami sztucznymi, których rytmy i wyrazy wypływają z nich jak płyny złociste, lecz obojętne i ocukrzone, poeci montmartcy wydają z siebie — podług Daudet'a — pieśni patetyczne, wypływające ze szczerości, z nieznanego, z błąkania się uczuciowego, ze złudzeń zawiedzionych, z cierpienia; pieśni, które mają akcent surowy i wywołują sny urocze. „Są oni czarodziejami”— kończy Daudet — „tymi, co przekształcają tragizm codzienny w coś malowniczego i prawie znośnego“.

Wprawdzie Heredia, Richepin, de Régnier itp. nie są, w każdym razie, niżsi od poetów z Montmarte (chyba od jednego Jehan Rictus'a, który rzeczywiście zostawił parę arcydzieł), dość jednak

dla Daudet'a, że dostali się do Akademji Francuskiej i przeszli przez *„Revue des deux Mondes“*, żeby stracili w oczach jego szczerość i oryginalność, wogóle istotną wartość poetycką. Stempel oficjalności, widoczny na ludziach, zgóry źle go usposabia względem nich, pobudza do gniewu bądź do drwin. Jednostkom z kategorji tych, „co doszli“, co ustalili się i mają „stanowiska“, przebacza wyjątkowo te ich przeniewierstwa, jeśli ta lub owa dogadzała jego instynktom towarzyskim, uczestniczyła w jego przyjemnościach i zabawach, w jego wczasach i pracach.

Tak przebacza utalentowanemu komedjopisarzowi, M. Donnay, chociaż ten przestał być piosenkarzem kabaretowym i pozwolił się wybrać do Akademji, to samo w wypadku z Couybą, który był nawet ministrem i senatorem. O kim może powiedzieć, że jest to *„un garçon chic“* — pomimo wszystko — albo *„un bon copain“* (jak np. Lemaitre, Coppée, Barrès, sami Akademicy), ten już, choćby się skalał oficjalnością, nie wypada z jego łask. To wszystko uwydatniam, żeby zwrócić uwagę, ile w tym pisarzu i człowieku o wysokiej kulturze umysłowej, w jego temperamencie i w jego duszy jest cech duchowych, stawiających go na jednym poziomie uczuć i pojęć z prostym ludem Paryża, z typowym przedstawicielem „rasy“ paryskiej. Ta sama tu, co tam, skłonność do frondowania, ta sama ochota do przekpinek, do żartów i facecyj, — podobna łatwość wybuchów oburzenia i protestu, podobna eksplozja namiętności, porywczość uczuć i myśli, duszy całej. Ale i tu i tam — podobne dochodzenie do równowagi wewnętrznej, do harmonji z ludźmi i rzeczami, z któremi nie zawsze jest się w dobrem porozumieniu, nawet z wrogiemi — za sprawą tego wszystkiego, co przemawia do wyobraźni, do duszy, a choćby do zdrowego rozsądku: wdziękiem, pięknem, miłą towarzyskością, trafnością zdania, obietnicą istotnej przyjemności moralnej czy zmysłowej.

Pójdźmy z Daudet'em, żeby się, co do jego istotnej paryskości, przekonać — na „lewy brzeg“ do Izby Deputowanych, do której przez kilka lat sam należał. Nikt chyba ze współczesnych publicystów francuskich nie jest większym od Daudet'a wrogiem parlamentaryzmu i rządów parlamentarnych; nikt chyba tem wszystkiem silniej nie gardzi, temu nie urąga, widząc w tem wytwór znikczemnienia demokratycznego, wogóle upadku człowieka i jego obyczajów politycznych.

A jednakże to, co mówi o tej instytucji w *„Paris Vécu“*, jak wspomina Izbę i tych, co w niej rej wodzą, chociaż jest bardzo ujemne, nie pozostawia czytelnika pod tak przygnębiającem wrażeniem, jak np. słynna książka Barrès'a (przejednanego poniekąd z Respupliką i z parlamentaryzmem) p. t. *„Leurs Figures“*, w której znakomity pisarz dał nam obraz parlamentarny „Panamy“ i scharakteryzował „panamczyków“.

Daudet szkicuje także portrety wielu dzisiejszych polityków i parlamentarzystów, których przedstawia, z małemi wyjątkami, jako zawodowych szalbierzy, mataczy i t. p., a w najlepszym razie, jako miernoty.

Portrety te, najczęściej doskonale utrafione, przechodzą nierzadko w karykaturę (w guście Forain'a, Sennep'a i t. p.), co, chociaż niepozbawione pierwiastka dramatycznego, zmniejsza smutne wrażenie w duszy czytelnika, przytłumia wrogość uczuć. Szydzi niemiłosiernie Daudet z wielu swoich przeciwników politycznych, płazuje ich zawzięcie i suchej nitki nie pozostawia na nich, jednakże o niejednym potrafi mówić z niekłamaną życzliwością, z prawdziwem uznaniem.

O Mandel'u np., którego nazywa jedynym, wśród republikanów, „człowiekiem rządu“, powiada, że „gdybyśmy go mieli, na stanowisku prezesa ministrów, zamiast Millerand'a, Briand'a, Herriot'a, Poincaré'go, zamiast wszystkich tych ludzi drugiego planu, od 1919 roku, sprawy Francji napewnoby wzięły inny obrót, i nie bylibyśmy znowu w przededniu katastrofy“. Ta dobra opinja o Mandel'u pochodzi najpewniej stąd, że podobał się on Daudet'owi z tego, iż interesuje go istota rzeczy, nie zaś pozory, a wszelkie honory i wysokie szarże są mu obojętne, o innym współpracowniku Clemenceau, wice-ministrze Ignace, mówi z serdeczną przyjaźnią, podnosząc jego zasługi w sprawie ścigania zdrajców i szpiegów, dodaje przytem, że ubolewał zawsze, iż od swego szefa nie mógł uzyskać upoważnienia do rozstrzelaniu Caillaux...

O niektórych deputowanych z lewicy odzywa się nieraz również życzliwie. O Daladier np., który wydał się mu umysłem przyjemnym i kulturalnym, powiada: „Łączyło nas wspólne uwielbienie dla Mistral'a, d'Aubanel'a i Roumanille'a (słynnych poetów prowansalskich), miłość dla kuchni cudownej, którą urzeczywistnia restaurator, zainstalowany na szczycie góry Ventoux“... O innym radykale, dep. Archimbaud, składa tego rodzaju pochlebne świadectwo: „Archimbaud jest literatem i smakoszem. Udzielił mi on, co do pstrągów, niesłychanie cennych wiadomości“... To ostatnie wyznanie, jest nieocenione! Takie i t. p. uznania dla przeciwników, czego sporo w książce, rzucają światło jaskrawe na wspomnianą wyżej cechę natury Daudet'a, na jej przyrodzoną dążność do harmonji ze światem, na podstawie tej lub innej wspólności z ludźmi, bodaj przygodnej, ale takiej, która dogadza jego zmysłowi towarzyskości, zadowala poczucie smaku i pewnej wytworności duchowej. Biada jednak temu, co nie posiada jej wcale, co nie promienieje żadnym wdziękiem; biada, słowem, pedantom i rygorystom, urzędowym, napuszonym, miernotom, hypokrytom i duszom episjerskim, uwodzącym świat błyskotkami cnót fałszywych, wynoszącym się na szczudłach powodzenia — ponad innych, dla których los był mniej łaskawym. Tym Daudet nigdy nie przebacza, wobec nich nigdy się nie rozbraja. Tych unika nawet przy biesiadnym stole, jak jednego z wielkich mężów politycznych Francji, który bywa zapraszany raz do roku przez Akademję Goncourt'ów, której Daudet jest członkiem.

Przeżycia paryskie L. Daudet'a pozwalają nam poznać tę kategorję ludzi w ciągu półwieku życia stolicy Francji, w głównych jej instytucjach, zarówno jak w istnieniu powszednim. Mówi on o tem wszystkiem, nie obwijając w bawełnę, dociera do wnętrza dusz ludzkich, do poufnych sprężyn, poruszających instytucje państwowe i społeczne. Odsłania nam widok na naukę, sztukę, literaturę, politykę, obyczaje, wogóle na rozmaitość życia paryskiego, a przeżywając to wszystko, odsłania siebie samego — swoje miłości i swoje nienawiści, wstręty i zachwyty.

Jak się nam, na tem tle Paryża, on sam przedstawia? Jest to natura pełna, przeżywająca całą

skalę uczuć, zarówno silnych w kochaniu, jak i w nienawiści. W zetknięciu z brzydotą świata i ludzi, i jego serce, jego dusza, jego intelekt — wrażliwe na piękno zmysłowe i wewnętrzne — zżymają się i podniecają, reagując z całą świadomością, w sposób stanowczy, niekompromisowy, niekiedy gwałtowny, nawet brutalny, częściej jednak tylko szczery, cięty i dowcipny.

To wszystko względem fałszu i nieprawości ludzkiej. Gdy jednak spotka się z uczuciem czystem, z sercem prostem, z umysłem wzniosłym, wzrusza się radośnie, jak wobec wszystkiego, co jaśnieje wielkością, szlachetnością, pięknem.

Spotykał się i z tem często w tym Paryżu, o którym powiada, że zagrażają mu dzisiaj, więcej niż kiedykolwiekbądź, między innemi, jego niecnoty, wynikające z jego przyjemności.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

Z DZIEJÓW WALKI MAZURÓW O STOLICĘ

(WARSZAWA W L. 1840 — 2, JAKO TŁO PIERWSZYCH WYSTĄPIEŃ NORWIDA)

ABY uchwycić charakterystyczne rysy Warszawy w l. 1840 — 2, czyli w czasach, gdy Cyprjan Norwid stawiał w jej murach pierwsze kroki na niwie literatury, trzeba rzucić okiem nieco wstecz i przypomnieć sobie, co cechowało to życie dotychczas.

Gdy po raz pierwszy za panowania Stanisława Augusta objawia się w Warszawie na większą skalę żywsze życie umysłowe i kulturalne, odrazu uderza nas jego cecha charakterystyczna: oto tak na dworze króla, który sam był kresowcem ze wschodu, jak też wogóle w ówczesnym warszawskim ruchu literackim przeważają Polacy wschodni, by przypomnieć tylko sobie nazwiska Adama Kazimierza Czartoryskiego, założyciela Teatru Narodowego w Warszawie, Joachima Chreptowicza, inicjatora Komisji Edukacyjnej, Naruszewicza, Bohomolca, Kniaźnina, Kołłątaja, Karpińskiego, Zabłockiego, Piramowicza, Niemcewicza oraz pisarzy mniej znanych, jak Łuskina, Nagurczewski, M. Krajewski, M. Wielhorski, biskup J. Kossakowski, M. Karpowicz, M. Karp, Wyrwicz, A. Rzewuski, W. Turski.

Ogromna ta falanga znakomitych pisarzy znajduje — prawda— przeciwwagę w licznym szeregu działaczy na polu literatury i kultury, pochodzących z innych dzielnic Polski, poczęści rdzennych Mazurów, ale trzeba przyznać, że pierwsze skrzypce w ówczesnem życiu kulturalnem Warszawy trzymają kresowcy.

Zupełnie podobnie rzecz się ma w dziesięcioleciu 1820 — 30, bezpośrednio poprzedzającem wybuch powstania listopadowego. Znowu oblicze kulturalne Warszawie nadają przedewszystkiem ludzie, pochodzący z kresów wschodnich dawnej Rzplitej. Więc jasno świecą tu czcigodne postaci starego Niemcewicza, oraz prymasa Woronicza, następnie Felińskiego, autora „Barbary“, Ludwika Dmuszewskiego, co napisał około 150 sztuk dramatycznych, Alojzego Żółkowskiego, znakomitego aktora i pisarza, wreszcie Józefa Lipińskiego, znanego swego czasu pedagoga.

Lecz szczególnie obficie reprezentowali w tym czasie nasze ziemie wschodnie na bruku Warszawy pisarze młodszej, naogół już romantycznej, generacji. Więc z Wołynia pochodzą: Malczewski, Słowacki, Korzeniowski, M. Grabowski, Rykaczewski, Podczaszyński, Janusz Woronicz, Ordyniec; z Podola—Witwicki, J.B. Ostrowski, Gosławski; z Ukrainy—Zaleski, Goszczyński i Kowalski; ze Wschodniej Galicji—Mochnaccy, J. M. Fredro, J. Mroziński, Kiciński, Supiński; nareszcie z Litwy i Białejrusi—Odyniec, Suchodolski, Heltman, Walerjan Krasiński, L. Niedźwiecki, Gołębiowski, Ł. z Giedrojciów Rautensztrauchowa, L. Potocki.

I znowu tym trzydziestu kilku kresowcom można, jusciż, przeciwstawić liczną gromadę pisarzy i literatów, reprezentujących na gruncie Warszawy zachodnie i centralne ziemie Polski, przedewszystkiem zaś Mazowsze, które się może w tym czasie poszczycić imionami Barzykowskiego, Mostowskiego, Minasowicza, T. Dziekońskiego, K. Hoffmana, Klem. z Tańskich Hoffmanowej, F. S. Dmochowskiego, Anny z Krajewskich Nakwaskiej, K. W. Wójcickiego, K. Gaszyńskiego wreszcie — jednak w tem gronie brak prawdziwych talentów i... gorących temperamentów (jeśli oczywiście pominiemy Lelewela, którego ze względu na egzotyczne pochodzenie niepodobna nazwać Mazurem). To też nie Mazury, lecz właśnie owi Kresowcy nadawali niewątpliwie ton życiu kulturalnemu naszej stolicy w przeddzień powstania 1830 r.

Otóż dopiero po dokładnem uprzytomnieniu sobie tych okoliczności będziemy mogli zdać sobie sprawę z tego olbrzymiego, zgoła wyjątkowego przewrotu, który się dokonał w życiu kulturalnem Warszawy po powstaniu. Mianowicie koło r. 1840, gdy Norwid występuje ze swemi pierwocinami poetyckiemi, oblicze duchowe Warszawy do cna się zmienia. Z owych pisarzy najbardziej znanych i sławnych przed powstaniem, a wywodzących się niemal wyłącznie z Kresów Wschodnich, właściwie nikt nie pozostał. Całość ziem wschodnich reprezentują teraz tylko Hipolit Skimborowicz z Wołynia (redaktor „Przegl. Nauk.“ i in. pism), Katarzyna z Głowaczów Lewocka—z Zelwy w Grodzieńskiem, oraz Dominik Szulc — z Mińszczyzny.

Natomiast ogromnym zastępem występują na *forum* literatury ludzie młodzi, mniej więcej w równym wieku, bo urodzeni niemal wszyscy około r. 1820, a pochodzący z tego najzdolniejszego plemienia polskiego, Mazurów, „stanowiącego najsilniejszy, najżywotniejszy czynnik plemienny w wytwarzaniu się współczesnej Polski“ (Chłebowski). Oto ich imiona: Ludwik (w r. 1818) i Cyprjan (1821) Norwidowie, Lenartowicz (1822), K. Brzozowski (1821) E. Dębowski (1822), S. Filleborn (1820), L. Jenike (1818), R. Zmorski (1821), J. B. Dziekoński (1815), Wł. Wolski (1824), K. Kucz (1815), Miniszewski (1823), Kenig (1821), W. Szymanowski (1821), J. E. Paszkowski (1817), K. Kaszewski (1823), S. Budziński (1824), J. Chęciński (1826), H. Kamieński (1812) Majorkiewicz (1820), F. Faleński (1823), O. Kolberg (1814), Żmichowska (1819), Z, Węgierska (1820), E. Ziemięcka (1819), P. Krakowowa (1813)j S. z Żochowskich Pruszakowa (1815), J. Śmigielska

(1820), trochę młodsza Deotyma (1834), wreszcie nieco od nich starsi Wójcicki (1807), Szubrański (1802), S. Bogusławski (1805) i Strończyński (1809). Dotrzymuje im także kroku liczne grono pisarzy, wprawdzie nie wywodzących się z samego Mazowsza, ale także z centralnej lub zachodniej Polski [1]), jest K. Baliński (1817), A. Czajkowski (1816), Cieszkowski (1814), W. Wężyk (1814), S. Z. Sierpiński (1818), A. Niewiarowski (1824), Juljan Bartoszewicz (1821), E. Chojecki (1822), F. Krzywicki (1824), F. Jezierski (1817), August (1805) i Paulina (1815), Wilkońscy, Sobieszczański (1814), Marja Ilnicka (1825), wreszcie nieco starszy W. A. Maciejowski (1793). Jednak już teraz Mazurzy bezwzględnie górują, tak liczebnością, jako też zwłaszcza potęgą talentów i ta przewaga wyraźna Mazurów na tle kulturalnem Warszawy objawia się w tej dobie tak dobitnie, jak bodaj nigdy ani przedtem, ani potem— aż po dziś dzień.

Wiele się okoliczności na to złożyło. W skutku powstania ówczesna elita kulturalna, a wraz z nią napływ kresowców, usunęła się na emigrację, zaś represje polityczne, w szczególności zamknięcie Uniwersytetu w r. 1832, utrudniły bardzo wzajemne stosunki pomiędzy poszczególnemi ziemiami polskiemi i zmniejszyły siłę przyciągającą stolicy. Brak atmosfery ośrodka uniwersyteckiego odbił się na poziomie umysłowym społeczeństwa i wywoływać zaczął plagę samouctwa, z czego jednak płynęły konsekwencje samozaradności oraz—samorodności. Ludzie młodzi ze studjami wyższemi stają się zjawiskiem nader rzadkiem, zaś ci, co wykształcenie wyższe bądźcobądź zdobywają, osiągają to poza granicami Królestwa Polskiego, częściowo w Krakowie, jak np. z powyższego grona Antoni Czajkowski i August Cieszkowski (który się dalej kształci w Berlinie i Heidelbergu), częściowo zaś w środowiskach obcych, np. w Moskwie, gdzie się uczą Majorkiewicz, Jezierski, Dziekoński (ten ostatni także w Dorpacie i Królewcu), oraz w Petersburgu— Bartoszewicz. Tu należy podkreślić, że gdy ten ostatni, około r. 1840 przebywa w stolicy Rosji, większość studentów tamtejszego Uniwersytetu stanowią — Polacy.

Inną okolicznością charakterystyczną ówczesnego życia Warszawy jest szczególna rola, którą zdobywają teraz kobiety. Pozostawszy w kraju w stosunkowo wielkiej ilości, czy to jako mężatki, opuszczone przez mężów-emigrantów, czy to jako wdowy, czy jako panny, mające obecnie mniejsze szanse na zamążpójście niż dawniej, były one skazane na przymusową emancypację i konieczność samodzielnego radzenia o sobie, i to w warunkach nie tylko politycznie, ale też ekonomicznie o wiele cięższych, niż przed powstaniem. Zresztą z zahamowaniem życia społecznego rola rodziny, a wraz z tem rola kobiet w społeczeństwie, znacznie wzrosła. Po trzecie wydatnie obniżone wykształcenie mężczyzn postawiło kobietę na tym samym naogół szczeblu umysłowym co mężczyźni. To też kobieta dochodzi teraz niemal gwałtownie do głosu w literaturze, jak o tem świadczy n. p. noworocznik „Pierwiosnek“, który w l. 1838 — 43 w sześciu tomach przynosi wyłącznie płody piór niewieścich, a to aż 53 autorek. Jeszcze ciekawszem zjawiskiem jest grono „Entuzjastek“, kierowanych przez Gabrjelę, która też kreśli w swej „Pogance“ ich arcy-zajmujące sylwetki (patrz także Chmielowskiego „Autorki polskie w. XIX“).

Dalszą osobliwością życia kulturalnego ówczesnej Warszawy są t. zw. salony literackie, zbierające śmietankę umysłową społeczeństwa, potrzebującego tego rodzaju ośrodków, wobec utrudnionych warunków wolnego publicznego wypowiadania się. Więc w pamiętnikach z owego czasu jest mowa o zebraniach: w niedziele — u Nakwaskiej, w poniedziałki — u Niny Łuszczewskiej, matki Deotymy, we czwartki — u Wójcickich, w piątki — u Lewockiej, także w niedziele — u Maciejowskich; poza tem mniej regularnie: u Leona Łubieńskiego, u generałowej Dziekońskiej (które uwiecznił Norwid w „Stygmacie“), u Rozalji Rzewuskiej, u Wilkońskich, Pruszakowej, u dr. Dworzanka, u pułk. Paszkowskiego i t. d.

Ogólne tendencje literackie, które ożywiały całe to towarzystwo warszawskie w l. 1840 — 8, kiedy to Norwid badawczem okiem rozglądał się po świecie, bywają ujmowane stereotypowo w schemat romantyzmu, ale był to romantyzm wtórny, o nanowo przemyślanym i pogłębionym stosunku do świata, oparty na zasadach oryginalności i narodowości, czyli zjawisko, które już mało z właściwym romantyzmem miało wspólnego. Boć to już było po „Panu Tadeuszu“, po „Irydjonie“, po „Anhellim“, w trakcie ewolucji, która doprowadziła n. p. Słowackiego do wyraźnego przeciwstawienia się romantyzmowi w „Złotej Czaszce“ czy „Fantazym“, po takich wreszcie filozoficznych pracach Cieszkowskiego, jak „Prolegomena“ (1838) lub „*Du crédit et de la circulation*“ (1838), w przededniu wyjścia na świat Trentowskiego „Chowanny“ (1842). A wszystkie te pisma, przynoszące ducha nowego, były przemycane przez granicę i pilnie czytane przez warszawian, to też ech dawnego egzaltowania — uczuciowego, indywidualistycznego i bajrońskiego romantyzmu moglibyśmy znaleźć niewiele jeno w płodach Filleborna, Zmorskiego, Balińskiego, czy Wolskiego, gdy tymczasem umysły samodzielniejsze wkraczają coraz bardziej świadomie na tory służby społecznej, porzucając stanowczo strome ścieżki indywidualizmu. Podobnież z paru jeno wyjątkami, romantyczna skłonność do fantastyczności zanika, wyraźnie przechylając się do symbolizmu oraz przeradzając się w zupełny realizm. W związku z tem uczuciowość zostaje ujęta w karby i zmuszona do współżycia z rozumem, a nawet do podporządkowania się jemu.

Wogóle mazurskie poczucie rzeczywistości bierze stanowczo górę nad rozpasaniem wyobraźni i nieskoordynowaną uczuciowością kresowców. Skłonność do realizmu ujawnia się zwłaszcza w programowym i praktycznym zwrocie ku ludowości. Jak mówi Norwid, w tych czasach „całe prawie polskie piśmiennictwo w góry i lasy poszło, gminnych poszukiwać podań, wyraz bajka nabrał powagi, wyraz gawęda stał się między stylu rodzaje policzonem zjawiskiem, wyraz nieznany pierwej klechda odniepomniał się, przysłowie salomonową nieledwo koronę wdziało; w kraju Wójcicki Kazimierz Władysław akcenta nieznane salonom świetnym bez fraka wprowadził w towarzystwo, a w Paryżu Chopin grał mazurki i obertasa, których nieraz porcelanowe pasterki z czasów Ludwika XV (ani wiedząc o tem co czynią) — słuchały“.

Ten ogólny zwrot ku ludowości, mający nietylko artystyczne i naukowe, ale też filozoficzne, obyczajowe, społeczne i polityczne cele na wzglę-

[1]) W tem Cieszkowski, Wężyk, Niewiarowski, Bartoszewicz i Chojecki pochodzą z Podlasia.

dzie, objawił się przedewszystkiem 14 tomami pism wspomnianego powyżej Wójcickiego, wydawanemi w bardzo szybkiem tempie w l. 1836 — 42, a obejmującemi: Starożytne przypowieści, Pieśni ludu Białochrobatów, Klechdy, Stare gawędy i obrazy, Teatr starożytny w Polsce oraz Zarysy domowe. Jakkolwiek były to kompilacje, z punktu widzenia naukowego nie mające większej wartości, jednak wpływ ich był olbrzymi i wywołał poszukiwania już ściśle naukowe np. Oskara Kolberga, który wśród nieustannych wędrówek pieszych po kraju zebrał Pieśni ludu polskiego i ogłosił je w r. 1842. W podobny sposób Zmorski zbierał Podania i pieśni ludu na Mazowszu, aby je zresztą ogłosić o wiele później, bo dopiero w r. 1852.

Wśród bujnego życia literackiego warszawskiego owej doby możemy wyodrębnić bardziej określone grupy. Więc prócz niewieściego grona Entuzjastek, o których wspominaliśmy wyżej, należy parę słów poświęcić mieszanemu gronu Entuzjastów, blisko spokrewnionemu z tamtem, zwłaszcza przez osobę świetnej pisarki, Narcyzy Żmichowskiej, co umiała gorące i tkliwe serce kobiece poddać kierownictwu jasnego i przenikliwego umysłu, prawdziwie męskiego, który w szczególności uregulował jej patrjotyzm, każąc jej stanowczo przeciwstawić się zarówno konspiracji, jakoteż później powstaniu styczniowemu.

Z pomiędzy Entuzjastów należy wymienić imiona Hipolita i Anny z Sokołowskich Skimborowiczów, Edwarda Dembowskiego, Henryka Kamieńskiego, Eleonory Ziemięckiej, Jana Majorkiewicza, Balińskiego, Bartoszewicza, Jezierskiego.

Paru z pośród nich należą się osobne wzmianki.

Więc najciekawszą pośród nich osobistością był bodaj Dembowski, który zginął w r. 1846 podczas powstania krakowskiego.

W estetyce podnosi on — wbrew romantyzmowi — znaczenie formy. Poezja prawdziwa ma być oryginalna i narodowa, t. j. przejęta ukochaniem ludu, bo „lud — a naród, to jedno“. Występuje on przeciw Mickiewiczowi i jego „wierze w osoby“ i „zrzeczywiszczenie myśli posłanniczej“ w oddzielnych jednostkach, gdyż wiara taka jest, wedle Dembowskiego, niezgodna z filozofją polską, której cechą jest wiara w zbiorowość, gdy wielcy mężowie są jeno wyobrazicielami postępu narodu, a więc tworem pochodnym, wtórnym (Kridl). Kult ludu nosi u niego zresztą charakter wybitnie praktyczny: „Pamiętajmyż przedewszystkiem, iż każda myśl, nie dążąca pośrednio lub bezpośrednio ku rozwinięciu żywiołów ludowych, i nie mająca na celu samodzielności i szczęścia ludu, tej najcnotliwszej, najliczniejszej, a najnieszczęśliwszej części ludzkości, — zmarnowana jest“.

Następny Entuzjasta, zasługujący na naszą uwagę, to Henryk Kamieński, znany szerzej z dzieła, wydanego pod pseud. Prawdowskiego o prawdach żywotnych narodu polskiego, na które repliką jest „Psalm miłości“ Krasińskiego. Próbuje on stworzyć „filozofję praktyczną, filozofję czynu“. Wbrew późniejszym teorjom „historycznej szkoły krakowskiej“ sądzi on, że przyczyną upadku naszego państwa nie był brak silnej władzy, lecz ucisk ludu. „To co rozerwało jedność, nadwątliło siłę polskiego narodu, uczyniło go niezdolnym odeprzeć obcą napaść, a tem samem stało się przyczyną naszego upadku, — to nic innego nie było, jak ucisk ludu“.

Kamieński także, jeden z pierwszych, podnosi hasło pracy, co ma szczególne znaczenie ze względu na zbliżone w tej dziedzinie poglądy Norwida. Praca, wedle niego „rozciąga się do wszelkich bez wyjątku posług, oddawanych społeczeństwu“. Artysta, badacz i wogóle każdy, poświęcający się „uprawie ducha, zaprawdę pracuje“. Dalej mówi, że praca jest „obowiązkiem, koniecznością materjalną“, lecz również potrzebą duchową, „potrzebą rozwinięcia swojej twórczości“, podkreślając rolę z a m i ł o w a n i a, jako właściwego regulatora jej wydajności.

Majorkiewicz, również filozof, reprezentuje wyraźnie dążenia społeczne, zwalczając bezwzględnie indywidualizm i propaguje filozofję woli, występując przeciw rozróżnianiu prawd moralnych od rozumowych, które, wedle niego, stanowią jedną, nierozerwalną całość (Kridl) Ciekawy i nawskroś współczesny, powiedzielibyśmy dziś: witalistyczno-estetyczny, jest jego pogląd na istotę nauki, która „powinna nietylko przedstawiać to, co jest, ale posuwać, kształcić i rozwijać życie“. Podobnie stawia on praktyczny probierz prawdy: „Jakże poznać prawdę? Poznasz ją, przerabiając w tło życia“ (Niemal identycznie tę samą definicję prawdy spotkamy później u Norwida).

Wreszcie Eleonora Ziemięcka, najuczeńsza kobieta polska, odbywszy gruntowne studja filozoficzne, wzgardziła Heglem dla filozofji katolickiej, głosząc kult pracy, „wszechstronnej, rozumowej pracy“, realizowanej „drogą rozwagi, doświadczenia, obserwacji“.

Jeśli jeszcze wspomniny, że Juljan Bartoszewicz, znakomity badacz historji i literatury, był gorliwym katolikiem i katolicyzm uważał za fundament potęgi dawnej państwowości polskiej — to łatwo dojdziemy do przekonania, że związki, łączące Entuzjastów, były natury głębszej i polegały na istotnem pokrewieństwie duchowem i bliskości poglądów na świat.

Innem gronem towarzysko-literackiem — o nieskończenie jednak mniejszem znaczeniu, było kółko humorystów, nazywające się „Cechem głupców“. Skupiało się ono przy domu Augustostwa Wilkońskich. Gospodarz zwał się „najgłupszy“, Wójcicki — „poważnie głupi“, A. Czajkowski, skończony prawnik — „prawnie głupi“, Dziekoński — „tkliwie głupi“, i t. p.

Wreszcie ostatnią, dość luźną grupą, była t. zw. „Cyganerja Warszawska“, którą składali: Dziekoński, Zmorski, Wolski, Filleborn, Sierpiński, Miniszewski, Szymański, Kenig, Niewiarowski i in. Byli to przeważnie poeci i malarze, a łączyła ich wzgarda ku t. zw. filistrom, ku salonowości („Pająk“ Dziekońskiego) i towarzyskim konwenansom. Przemyśliwali też oni o wytworzeniu „szkoły“ poetyckiej mazowieckiej na wzór np. szkoły ukraińskiej.

Całe to ówczesne społeczeństwo warszawskie, czy dzielące się na poszczególne grupy, czy też składające się z jednostek, chodzących luzem, możemy ściągnąć do jednego wspólnego mianownika: przekonań szczerze i głęboko demokratycznych, acz jednocześnie moglibyśmy w niem dostrzec dwie wyraźnie różne tendencje: jedną — bardziej skrajną, romantyczno-radykalną i wolnomyślną, której wyznawcami byli przeważnie „cyganie“ oraz Dembowski i Kamieński. Drugą tendencję reprezentował obóz umiarkowany, skłonny do realizmu, do filozofji czynu, oraz do katolicyzmu. Do odłamu tego należałoby zaliczyć Żmichowską, Ziemięcką, Majorkiewicza, Bartoszewicza, Faleńskiego, Lenartowicza i in.

(Dok. n.) STANISŁAW CYWIŃSKI

NA WIDOWNI

O cierpieniu i męstwie ks. Janusza Radziwiłła. — Poglądy etyczne przewodniczącego Zjazdu Katolickiego. — O czem uczy Ewangelja? — Czy nakaz miłosierdzia obowiązuje na serjo?

GŁOŚNE stało się niedawne oświadczenie, złożone na sejmowej komisji spraw zagranicznych przez przewodniczącego komisji, jednego z przywódców Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, posła ks. Janusza Radziwiłła. Oto fragment tej znamiennej deklaracji (cytat dosłowny z „sanacyjnego", konserwatywnego „Słowa" wileńskiego, z dn. 24 ub. m.):

„Wybory, Brześć, pacyfikacja, są to niezmiernie smutne epizody tego przeobrażenia w Polsce. Niech panowie wierzą, ani dla mnie, ani dla Bloku, ani dla rządu nie było to powodem do radości, gdyśmy się dowiedzieli, że się odbywa pacyfikacja, że część naszych kolegów dawnych jest zamknięta w twierdzy, że jest oddana niezmiernie surowemu reżimowi i że była bita. Panowie sami, w swych sumieniach jesteście przekonani, że z powodu tego wszystkiego, co było w ostatnich miesiącach, co może być musiało, myśmy cierpieli moralnie może nawet więcej, niż inni cierpieli fizycznie".

Niema powodu wątpić o szczerości tego wyznania. Niezawodnie ks. Janusz Radziwiłł „cierpiał moralnie", ale umiał znieść po męsku to cierpienie, nie uległ mu i z pogodą stoika oddał swój głos przeciwko wnioskowi Klubu Narodowego, domagającemu się zbadania sprawy brzeskiej i ukarania winowajców. „Mamy wszyscy dość siły, by znosić nieszczęścia innych" — pisał książę de La Rochefoucauld w swoich „Zdaniach moralnych i uwagach".

Skąd jednakże czerpał ks. Radziwiłł siłę duchową, pozwalającą mu w sposób tak mężny wytrzymywać „niezmiernie surowy reżim", zastosowany wobec jego „dawnych kolegów"? Wyjaśnia to sam dokładniej w dalszym ciągu przytoczonego powyżej oświadczenia:

„Chodzi o to, że w Polsce odbywa się teraz proces dziejowy. Będziemy mówili za tydzień o reformie konstytucji, co będzie dalszym etapem tego procesu, którego celem jest nadanie Polsce takiego kośćca pacierzowego, aby wszystkie ataki na nasze granice musiały być nierealne... i t. d.".

Sens jest wyraźny: cel (zmiana konstytucji w myśl projektu BB.) jest tak promienny, tak wielki, że uprawnić ma użycie wszelkich sposobów, chociażby nawet cenę ich stanowiło wyrzeczenie się najbardziej elementarnych dóbr z dziedziny moralnej[1]). Pominąwszy niezbyt zachęcającą zapowiedź, że wznowiona praca nad naprawą konstytucji rozumiana jest jako „dalszy etap"... Brześcia, samo tak stanowcze wygłoszenie zasady: „cel uświęca środki" — jest szczególnie interesujące w ustach człowieka, który w sierpniu r. 1926 powołany był na zaszczytne stanowisko przewodniczącego Zjazdu Katolickiego w Warszawie.

Z tego ostatniego względu właśnie, rozpatrzenie deklaracji ks. Radziwiłła w sprawie brzeskiej jest interesujące także ze stanowiska ogólniejszego. Oświadczenie to jest jednym więcej dowodem, jak łatwo zagubić się przy rozstrzyganiu najprostszych nawet zagadnień etycznych, jeśli przez niechęć ku „nacjonalizmowi" utraci się czucie z żywą rzeczywistością instynktu moralnego narodu, a religijne nakazy postępowania zacznie traktować tak, jakgdyby to były oderwane całkiem, teoretyczne koncepcje i zasady, dopuszczające rozmaite, dowolne zupełnie wykładnie i komentarze. Jedni, wyzbywszy się wierności względem własnego narodu, popadają wtedy np. w skrajny pacyfizm, potępiają wogóle zawód żołnierza, ogłaszając, iż zasady Ewangelji zabraniają jakoby posługiwania się orężem, nawet w wypadku konieczności obrony ojczyzny własnej przed najeźdźcą. Inni, naodwrót, przeciwstawiając Państwo oraz „interes państwowy" — Narodowi, gotowi są w imię tej „racji stanu" rozgrzeszać postępki chociażby najbardziej nieludzkie, aprobować pastwienie się człowieka uzbrojonego nad bezbronnym, jeżeli tylko uznają to za czyn „politycznie celowy"...

Człowiek o sumieniu narodowem w porządku, człowiek silnie związany duchowo ze swym narodem, nie będzie w takich wypadkach odczuwał najmniejszych wątpliwości czy wahań. Odrazu, odruchowo niejako, wie o tem, że — skoro wojna wybucha — zbrodnią byłoby uchylanie się od stanięcia do walki z nieprzyjacielem, i odrazu rozumie z drugiej strony doskonale, że naród, jako „istność moralna" (jak określił Staszic), nie może wzrastać ani podnosić się przez czyny, które go poniżają, nie może szlachetnieć przez upodlenie, nie może krzepnąć i nabierać zwartości przez szerzenie się rozkładu, albo odświeżać swej atmosfery duchowej—zgnilizną. I człowiek taki najściślej zgodny jest z nauką moralną katolicką, uznającą wielkość i szlachetność służby żołnierskiej, lecz jednocześnie określającą też wyraźnie kodeks postępowania rycerskiego, obowiązujący chrześcijańskiego wojownika:

„Pytali go (św. Jana Chrzciciela) też i żołnierze, mówiąc: Co mamy czynić i my? I rzekł im: żadnego nie bijcie ani potwarzajcie: ale na żołdziech waszych przestawajcie". (Ewangelja św. Łukasza, rozdz. III, werset 14).

Podobnych nieporozumień, jak przytoczona wyżej teorja ks. Janusza Radziwiłła o „celu, uświęcającym środki", możnaby wyliczyć więcej. Niedawno polski świat piśmienniczy, w szeregu odezw oraz oświadczeń, określił był publicznie swe stanowisko w stosunku do sprawy brzeskiej. Obok kilku literatów „zetatyzowanych", jednodniowych „znakomitości" oficjalnych, zamilczały natomiast o tej sprawie dwie autorki bardzo wybitne, których imiona trwale już zapisane są w polskiej literaturze: Kazimiera Iłłakowiczówna i Zofja Kossak-Szczucka. Obie wyraźnie zaznaczają swe stanowisko katolickie, obie np. wzięły udział w wydawnictwie zbiorowem „Confiteor — W ordynku bożym", ogłoszonem

[1]) „Ale trzeba kielich żółci i goryczy wychylić do dna. Trzeba ratować ten nieszczęśliwy kraj i dla jego ratunku pod nowym ugiąć się ciężarem... Ale mówię ci, nie drżyj, bo w tem zbawienie tego kraju... Chcę ratować ojczyznę i wszystkie drogi, wszystkie sposoby do tego mi dobre... Rzym w chwilach klęski mianował dyktatorów — takiej, ba! większej, trwalszej władzy mi potrzeba"... (H. Sienkiewicz: „Potop" t. I, słowa ks. Janusza Radziwiłła, w rozmowie z Andrz. Kmicicem, kiedy, po pamiętnej uczcie w Kiejdanach, uzasadniał przed nim pakt, zawarty z królem szwedzkim, Karolem Gustawem).

w roku ubiegłym z okazji Kongresu Eucharystycznego w Poznaniu.

P. Kazimiera Iłłakowiczówna niejednokrotnie wypowiadała publicznie swoje polityczne przekonania. Niewątpliwie uważa więźniów brzeskich za szkodników, może za niebezpiecznych przestępców. Nawet jednak na tem stanowisku stając, nawet w stosunku do winowajców, z nauki katolickiej wypływają pewne zasady postępowania, wynikają pewne nakazy sumienia. Wzruszający jest chrześcijański duch przebaczenia, kiedy w „Opowieści o moskiewskiem męczeństwie“ płomiennemi słowy modli się Iłłakowiczówna o zbawienie dla „gorszej od tysięcy” duszy zbrodniarza — Lenina. Ale skoro o rodaków chodzi, wyznających inne, nie „sanacyjne“, przekonania polityczne, ten taki czuły, tak precyzyjny mechanizm miłosierdzia w psychice poetki, nagle zacina się, cichnie, przestaje działać. Zalega grobowe milczenie.

P. Kossak-Szczucka potrafiła ostatnio w „Legnickiem Polu” we wstrząsającym obrazie ukazać okropności tortur i nędzę ciemnicy więziennej w XIII stuleciu we Wrocławiu. Oto odwiedza więzienie wrocławskie księżna śląska, żona Henryka Brodacza, święta Jadwiga:

„...Podeszła tuż do dwóch ciężkich belek, zamkniętych kłódką żelazną. W ciasnych otworach więziły nogi ośmiu ludzi. Ciężkie obroże żelazne z łańcuchem przykuwały wyschłe szyje do ściany... Męka litości i grozy zaświeciła w oczach księżnej.

— Otwórz to!—rozkazała krótko, wskazując na belki...“

A potem, gdy więźniowie byli już oswobodzeni:

„Naraz podniosła głowę, spojrzała martwo na pusty łańcuch, zwieszający się ze ściany.

— Daj mi to — rzekła do stróża.

Ujęła odczepiony łańcuch, ważąc go na dłoni zamyślona. Ruchami niby sennemi założyła sobie kleszcze obroży na szyję.

— Zakręć! — rozkazała.

Stróż cofnął się na krok, wytrzeszczając osłupiałe oczy. Uśmiechnęła się blado, żałośnie...

— Zakręć bracie, — powtórzyła łagodnie.

Drżącemi palcami założył śruby i mutry, unikając starannie jej wzroku... Księżna... zawróciła z powrotem do zamku. Szła szybko, dźwięcząc łańcuchem skazańca“...

Ale gdy z XIII wieku przenosimy się w XX, mistyczny żar „szaleńców bożych“ przeistacza się odrazu w trzeźwość polityczną „dnia dzisiejszego“ współpracowniczki krakowskiego „Czasu“. Wizja cierpień mniej plastycznie narzuca się wyobraźni. Miłosierdzie, litość, współczucie — milkną wówczas, zagłuszone rozgwarem i hałasem współczesności...

. . . .

A naród jest *prawdą żywą* — nie koncepcją literacką, nie teoryjką, nie doktryną. Dlatego chroni jednostkę od dowolności w zakresie moralnym, nakładając obowiązki wobec żywego faktu, określonej rzeczywistości, przez samą konkretność swoją nie dozwalającej na żadne dwuznaczne stanowiska, wymagającej odpowiedzi szczerych, stanowczych.

JAN REMBIELIŃSKI

O ETYCZNĄ ATMOSFERĘ W SZKOLE

ROZPOCZYNAM od wspomnień z przed lat jedenastu. Powołany do pracy w ówczesnej Radzie Szkolnej krajowej we Lwowie, musiałem przerwać pracę w gimnazjum i formalnie porzucić klasę, którą od szeregu lat prowadziłem na kilka miesięcy przed maturą. Faktycznie opieka nie ustała, interesowałem się klasą, często w rozmaitych sprawach zwracali się do mnie dawni uczniowie, a także nauczyciele. I oto raz żali się mój następca w wychowawstwie: „Wyobraź sobie, co mi ten Wiesiek urządził. Nie nauczył się, pytam, czemu? a on na to: Bo mi się nie chciało. Co za bezczelność! W ten sposób odpowiadać!“

Reflektuję kolegę: „Nie uważam, by to była bezczelność. To tylko szczerość i odwaga. Wychowywałem ich w tym duchu, by zawsze mówili prawdę. Gdyby coś wymyślił na usprawiedliwienie, byłoby to kłamstwo, czy wolałbyś to, niż szczere i męskie przyznanie się do winy? Jeżeli mu nagadałeś, twoja rzecz. Ja uważałbym, iż można go skarcić czy ukarać za niedbalstwo, lenistwo, nie nauczenie się lekcji, ale za przyznanie się do grzechu... raczej może pochwalić”.

„Ha, może masz i rację, — zastanawia się kolega, — choć to takie dziwne“...

*

Niedawno obchodzono rocznicę państwową. Były obchody z referatami i przemówieniami. W jednem z gimnazjów polonista w wyższej klasie daje jako zadanie sprawozdanie z uroczystości. Jeden z uczniów podnosi nie tylko tendencyjność w przemówieniu nauczyciela, ale wskazuje szereg nieścisłości. Sprawą zajmuje się konferencja. Rzeczowo uczeń, okazuje się, ma słuszność, nawet oficjalny mówca nie może zaprzeczyć. Konkluzja: unikać podobnie „drażliwych“ tematów w zadaniach. No a ta treść przemówienia? „Nie mówmy o tem... sza“...

*

Gdzieindziej znów co innego. Uroczystości po klasach, bo niema auli. W jednej z klas niższych wychowawca poucza wybranego „prelegenta“, co ma powiedzieć, czem zakończyć. Rzeczywistość wypada inaczej. Nauczyciel robi gorzkie wymówki ulubieńcowi: „Pouczyłem cię, co masz powiedzieć, pewnie cię w domu zbałamucili?” „Nie — powiada dzieciak — podziękowałem za pomoc, ja sam się orjentuję. Przecie, co powiedziałem, jest prawdą, nie podałem żadnego fałszu... Czytałem... Chyba Pan Profesor przyzna... i sam nie myśli inaczej“...

Sceny podobne w niejednej szkole, dalszy ciąg bardzo rozmaity...

*

Czy może być bardziej wzniosły i stosowny okrzyk na zakończenie rocznicy listopadowej, tej niedawnej i tej z przed wieku, jak na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej?

*

Cały szereg dyrektorów przeszedł przed czasem na emeryturę, przeniesiono rzesze nauczycieli. Czy chodziło o zmianę ludzi, czy „ducha“ w szkole? Jeśli o to ostatnie, wartoby zbadać, jaki on jest teraz, ale gruntownie, nie z wierzchu, nie z pozoru. Osobiście wierzę, że — mimo wszystko — ten

„duch“ będzie górą, który reprezentuje wznioślejszą ideję. Pomoc z zewnątrz, albo przeszkoda, nawet przemoc, mogą opóźnić, przygłuszyć, zataić, ale biegu historji, ani jej wyroków nie zmienią.

Jeszcze za czasów austrjackich w okresie największych represyj i sukcesów wojennych w 1918 roku zmieniono kierownika w jednem z gimnazjów lwowskich, uważanem za „gniazdo czerwone“. Przysłano człowieka silnej ręki, z dalekiemi pełnomocnictwami „rozpędzenia połowy profesorów i trzech ćwierci uczniów“. Skutek: znieważenie portretu cesarskiego na powitanie „silnego władcy”, jego choroba po paru tygodniach, wymagająca dłuższego urlopu...

*

Czy możliwa jest praca wychowawcza nie z przekonania, nie dla idei? cytuję za Szczepanowskim: „Nauczyciel karjerowicz, nauczyciel, nakręcony jak katarynka, żeby odegrać nutę z góry nakazaną, nauczyciel, uczący za pieniądzie i dla pieniędzy, może mieć dyplom i patent nauczyciela, ale będzie zawsze tylko nie nauczycielem, ale korruptorem młodzieży”.

Dawne przysłowie głosi: głód zły doradca. Czyż nauczyciel może poświęcić się swej pracy, gdy na utrzymanie rodziny musi bokami dorabiać i niszczyć resztki zdrowia i sił, jeśli chce się utrzymać na linji honoru i uczciwości? „Ustawa sanacyjna“ była pomyślana jako konieczność chwilowa, dlaczego utrzymano ją nawet w okresie „radosnej twórczości“, gdy przy sprzyjającej konjukturze nie liczono się z groszem?

A niepewność jutra, możność znalezienia się na bruku z powodu tajemnej denuncjacji lub widzimisię jakiegoś potentata? „Niemasz wykształcenia bez charakteru”, a czy to jest wyrabianie charakterów? czy może powolne „piłowanie”, łamanie odporności, niewolnicze poddawanie się każdemu, kto ma siłę, byle mieć jeszcze trochę obroku w żłobie? Czy w takim systemie nie zjawi się obojętność i tępota, czy urzędnik nie stanie się maszyną obojętną? Byle żyć...

*

Wspomina śp. A. Danysz ze słusznym przekąsem o jakiejś przełożonej, która „unarodawiała wychowanie” w ten sposób, że w wyrazie Polska kazała swym wychowankom przeciągać akcentowaną samogłoskę: Pooolska. A oto niedawno jakaś inna histeryczka denuncjuje kolegę, że na szkolnym obchodzie nie dość przeciągnął inną samogłoskę w nazwisku jubilata, przez co okazał nie dość serdecznego sentymentu. Zaczyna to już być humorystyczne, gdyby nie przechodziło w tragedję, skoro się rzeczy takie poważnie traktuje u szczytów.

„W zakładzie brak ducha państwowego”. Że grono nauczycielskie pracuje, mimo znanych warunków, ofiarnie w różnych narodowych organizacjach, że młodzież ćwiczy się w harcerstwie i hufcu przysposobienia, że opodatkowała się na łódź podwodną w odpowiedzi Treviranusowi, że.., ale cóż to wszystko znaczy wobec braku portretu...

*

W jednym z kuratorjów wydawał opinje o „duchu państwowym” były ukraiński komendant obwodu, gdzie mieścił się znany obóz jeńców naszych, będący istną mordownią. W temże kuratorjum jeden z ruskich dyrektorów żalił się, że nie może wymóc przeniesienia kilku nauczycieli, którzy prowadzili wyraźną agitację przeciwpaństwową wśród młodzieży. Po paru latach okazuje się konieczność zamknięcia całych zakładów, potrzeba „pacyfikować” szeroko w całym kraju. Ale Pan Kurator... awansuje...

*

Urywek z rozmów, kiedy wśród sfer profesorskich była aktualna sprawa Brześcia: Jeden: „Co ciebie może obchodzić, że tam ktoś w skórę dostał“! I drugi: „Należałoby już wreszcie skończyć w tym ostatkiem średniowieczyzny, jakim są uniwersytety. Profesorowie powinni być urzędnikami oznaczonego stopnia“...

Mówca oczywiście zapomniał, że jest jeszcze większy i starszy zabytek: kościół.

Tworzyć sztukę, budować naukę, normować etykę, wychowywać pokolenia, formować całą kulturę będą... odkomenderowani urzędnicy właściwego stopnia? Czy po przejściu specjalnego kursu dokształcającego?

Czy pragnienie i dążenie do wyświetlenia prawdy jest polityką?

Jakiś czad zaczyna nas ogarniać. Niektórzy zaczynają się wahać, czy złem i szkodą dla państwa jest zbrodnia, czy jej potępienie, czy żądanie wyjaśnienia, kto winien. Czy grzechem jest zło, czy walka z niem?

Czy usprawiedliwimy sędziego, który fałszywie zasądził, świadka, który krzywo przysiągł, lekarza, który otruł pacjenta i t. d., ale który inaczej straciłby urząd i pensję? Czy może go nawet pochwalimy, bo spełnił wolę przełożonego? A przełożony?

Czy to nowe ideały wychowawcze dla szkoły?

Modernizujemy się coraz bardziej: ot choćby święta. Są jeszcze tradycyjne, kościelne, są narodowe i państwowe, ale i cały szereg nowych i najnowszych ciągle wymyślanych. Święto matki, święto młodzieży, święto pracy, święto sportu, święto ludu pracującego, święto dziecka, święto żołnierza, święto proletarjatu... Czasem też sięga się tradycji: święto wianków, dożynki.

Nie możemy być w tyle zagranicą. W Niemczech powstała myśl, by nie zadowolić się Lutrem, lecz zerwać zupełnie z Rzymem, a wrócić do rodzimych bogów germańskich. Możeby i nam wypadało stworzyć własne bożyszcza? Godziłoby się to z duchem czasu, który po wojnie okazuje w Europie powszechnie silny renesans religijny.

*

Podsłuchują się i denuncjują nie tylko rywale, ale koledzy, podwładni, służba, uczniowie.

Uczeni prowadzą kartoteki...

Studenci piszą raporty do władz o tem, co profesor mówi z katedry i poza katedrą. Kto kogo instruuje i wychowuje?

Pocieszmy się, że to jeszcze nie tu... a w Bolszewji. U nas niema „czerezwyczajki“.

Jak tam wykuwać charaktery? „*Corruptio optimi pessima*“.

*

Na zakończenie znów cytat z Szczepanowskiego: „Niemasz wykształcenia bez charakteru. Niechaj więc w każdym stanie ludzie idei odłączą się od bydła ludzkiego,...[1]), a wytworzą pierwszy i niezbędny warunek wszelkiego wychowania narodowego t. j. atmosferę, w której mogą się rozwijać szlachetne charaktery”.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

[1]) Opuszczam cztery wyrazy, bo cenzor może nie wiedzieć, że cytat pochodzi z roku 1898 i krytykuje ówczesne stosunki austrjackie, myśląc zaś o aktualności i o bieżących czasach gotów skonfiskować nakład.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Staraniem i nakładem Tow. polsko-węgierskiego ukazał się tomik wierszy Aleksandra Petöfiego, największego poety węgierskiego („Poezje wybrane“, Kraków, 1930). Zbiorek zawiera osiemnaście utworów w tłumaczeniu Andrzeja Gawrońskiego, przedwcześnie zgasłego orjentalisty. W tomiku znalazły się najbardziej charakterystyczne liryki Petöfiego, jak: „Śpiew patrjotów“, „Szlachcic“, „Dręczy mnie ta myśl jedyna“, „Puszta zimą“, „Ja łez nie leję“ i inne. Piękny przekład Gawrońskiego wypełni w piśmiennictwie naszem pewną lukę, tem więcej, że wybór tłumaczeń nie pokrywa się z dawniejszemi przekładami A. Langego. Wydanie książki bardzo staranne. (T. B. S.)

*

Życie społeczne wtedy jest prawdziwie ludzkie, kiedy sięga poza organizację interesów do serc i pociąga do służby całego człowieka. Nie mogą być skazane na bezczynność uczucia, a z nich, najbardziej twórcze uczucie, miłość, która społecznie wyraża się w miłosierdziu. Ten obowiązek serca leży w podstawie cywilizacji chrześcijańskiej i narzuca się ze szczególną kategorycznością w krytycznych pod względem materjalnym sytuacjach. Strzegący tego obowiązku serca Kościół dał wyraz swojej czujności w liście pasterskim J. E. ks. kardynała K a k o w s k i e g o „O miłosierdziu chrześcijańskiem w akcji katolickiej“ (Warsz. 1931. Odbitka z „Wiadomości Archidjec. Warszawskich“, str. 26). List pasterski nawołuje społeczeństwo do popierania założonego w r. 1930 Katolickiego Związku instytucyj i zakładów wychowawczych i opiekuńczych archidjecezji pod nazwą „*Caritas*“.

Jednocześnie otrzymaliśmy zesz. 2 z r. b. czasopisma „Ruch Charytatywny“ (luty), poświęconego sprawom miłosierdzia. Wychodzi ono w Poznaniu, al. Marcinkowskiego 22. Cena roczna 12 zł.

Tamże ukazało się nowe czasopismo bardzo tanie (15 gr. egz.) „W służbie miłości bliźniego“. Adres ten sam. Warto oba te pisma rozpowszechniać.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Francuski historyk Fr. F u n c k - B r e n t a n o napisał małą książeczkę p. t. „*Ce qu'il faut connaitre de la dictature*“ *(Boivin et C-ie, editeurs)*, w której dał sylwety piętnastu najbardziej znanych w dziejach dyktatorów, poczynając od Peryklesa, poprzez Juljusza Cezara, Kromwella, Robespierre'a aż po Mussoliniego i Primo de Riverę. W zakończeniu znajdujemy nieco uwag aktualnych. Autor przepowiada dyktaturę we Francji i ma do rządów dyktatorskich wyraźną sympatję. (S. K.)

*

Kto chce się zapoznać z osobistością i dziejami gen. Boulangera niech weźmie do ręki książkę „*Le brave general Boulanger*“, której autor ukrywa się pod pseudonimem B r a n t h ô m e. Boulanger nie wpłynął na bieg dziejów Francji — zabłysnął i zniknął. Jedni przypisują to wpływowi miłości do p. de Bonnemoins, która to miłość pochłonęła go całkowicie, inni — i ci mają bodaj słuszność — wadom jego charakteru i niestosowności chwili, w której się zjawił na powierzchni życia politycznego. Tak czy inaczej ruch, który wzbudził i który go wyniósł na powierzchnię, jest niezmiernie charakterystyczny i dla życia francuskiego znamienny. Brali w nim udział ludzie nieprzeciętni, a jeden z najznakomitszych pisarzy francuskich ostatniej doby, Maurycy Barrès, zebrał wspomnienia swe z udziału w Bulanżyzmie w pięknej książce „*L'appel au soldat*“. Autor mówi o niedawnej przeszłości w sposób barwny i zajmujący, z sympatją dla swego bohatera i z wyzierającą ze stronic książki, choć nie sformułowaną wyraźnie tęsknotą do tego, by zjawił się ktoś, ktoby uzdrowił stosunki polityczne we Francji. Na jednej z początkowych stronic książki mówi o tem ukrywająca się skromnie dedykacja: „*A celui qui doit venir et qui nous épouillera*“. (S. K.)

*

Znany pisarz G e o r g e s S u a r è z wydał zeszłego roku poważne dzieło „*La Vie orgueilleuse de Georges Clemenceau*“. Jest to niezawodnie jedna z najciekawszych prac, poświęconych wielkiemu Francuzowi. Obecnie ta sama książka wychodzi u wydawcy Gallimard w wydaniu zbytkownem, w kolekcji „*Galerie Pittoresque*“. Burzliwa egzystencja Clemenceau, ujęta w formę niezmiernie żywą przez autora, jest w tej ostatniej publikacji uzupełniona poniekąd prawdziwą galerją najrozmaitszych fotografij, odnoszących się do jego życia. Rozpoczynają zaś je portrety małego dziecka, stopniowo zapoznając czytelnika z tym dumnym żywotem, ażeby go doprowadzić do tej wymownej i wzruszającej maski, jaką po śmierci Clemenceau zdjął rzeźbiarz Sicard. (I. B.)

*

W Paryżu zaczął wychodzić nowy miesięcznik „*Le Mois*“, odróżniający się tem od innych, iż jest prawdziwą książką o 300 stronach druku, obejmującą w sposób syntetyczny działalność światową. Inaczej mówiąc, „*Le Mois*“ to dziennik-miesięcznik. Czytelnik znajdzie w nim bowiem, z dnia na dzień notowane zdarzenia z dziedziny zarówno politycznej, naukowej, literackiej, jak i ekonomiczno-społecznej, odnoszące się do Francji i wszystkich innych państw obydwu półkuli. Przegląd zaś tych wszystkich wypadków, podany w formie nadzwyczajnie, treściwej, jest ciekawem zestawieniem życia współczesnego. Pod względem politycznym pragnie on stać ponad partjami, przedstawiając jedynie rzeczowo przebieg wydarzeń. Dodajmy wreszcie, iż „ojcami chrzestnymi“ tego miesięcznika są, pomiędzy innymi, senator Henry de Jouvenel, wielki uczony Charcot, a prasie przedstawił go w gorących słowach znany pisarz Marcel Prévost. Dyrektor „*Le Mois*“, p. Emile Maulde jest sam w wolnych od pracy chwilach powieściopisarzem uzdolnionym. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

NA WYSTAWIE grafiki francuskiej (Polski Klub Artystyczny) uderza przedewszystkiem brak... francuskich grafików. Nie widzimy ich, mimo dość pompatycznego twierdzenia (we wstępie do katalogu): wystawa pokazuje poraz pierwszy całokształt (!?) współczesnej grafiki francuskiej. Całokształt? a gdzież są Laboureur, Galanis, Hermine David, F. Siméon, Boullaire, Darágnes, Herman Paul, Carlégle? Oto zaledwie, garsteczka nieobecnych, bynajmniej nie żadnych ułomków, lecz dziwów prawdziwych współczesnej grafiki francuskiej. Nazwiska wybrane nie według jakichś osobistych upodobań (nie zachwycam się np. Laboureur'em), lecz najbardziej cenione przez istotnych miłośników i znawców. Niema ich ale zato „na wystawie są reprezentowane nazwiska niemal wszystkich najwybitniejszych i najpopularniejszych m a l a r z y współczesnej Francji“. Tylko co czytaliśmy o grafice, a teraz dowiadujemy się, że to malarze. No, więc jak ma być ostatecznie? O to zdaje się p. Sterlinga, organizatora wystawy i autora katalogu, głowa nie boli. Grunt, że zebrał nazwiska. Nie jest to coprawda metoda nowa, sposób ten uprawiał już niejaki p. Cziczikow z „Martwych dusz“ Gogola. I on także zbierał nazwiska. Tylko, że Cziczikow nazwiska kupował, a nas p. Sterling chce kupić zapomocą nazwisk. Cóż, kiedy jednak są i tacy, co żądają, żeby nad podpisem (nazwiska) był koniecznie i dobry obraz. Szereg dobrych obrazów, to jeszcze nie całokształt jakiejś gałęzi sztuki danego kraju. W urządzaniu wystaw trzeba mieć pewien system, koncepcję. Planowo była zorganizowana u nas wystawa sztuki niemieckiej. Natomiast pokaz „grafiki“ francuskiej jest zbiorem chaotycznym, bezładnym, urządzonym bez żadnej myśli przewodniej i nietylko niekompletnym, ale co gorsza dającym widzowi jaknajfałszywsze pojęcie o stanie tej pięknej sztuki u naszych przyjaciół. Stan całkowitej dezorjentacji pogłębia gruntownie beznadziejny wstęp do katalogu, pióra tegoż p. Sterlinga. Zanim zajmę się nim szczegółowiej, muszę jeszcze wyjaśnić w jaki sposób uzyskano z Francji eksponaty wystawowe. Zwykłą i najwłaściwszą drogą w takich wypadkach jest zwrócenie się, czy to do odpowiednich stowarzyszeń art.-grafików czy to do ich związku zawodowego, lub towarzystwa miłośników grafiki (takie tam istnieją), wreszcie pertraktowanie z jakąś tamtejsza oficjalną instytucją, w rodzaju naszego „Tow. popierania sztuki wśród obcych“. Tymczasem obrazy przysłała jakaś paryska „Galerie“, to znaczy zwyczajny handelek dziełami sztuki. Co handelek przysłał — to p. Sterling wystawił. Gorzej jeszcze: przysłano np. książkę z b. interesującemi drzeworytami Brodowitcha, p. Sterling schował ją do szafy, pokazał natomiast między innemi kiepski pastel Le Fanconier, którego nie należało ani pokazywać, ani chować, tylko wyrzucić. Mniejsza z tem, wróćmy do tego, co przysłała „Galerie“. Oczywista dla niej, z handlowego punktu widzenia, ważniejsze jest kichnięcie Matissa lub Picassa (bo to „firmy“), niż rzetelna praca choćby Boullaire'a. Tem się kierowano przy urządzaniu wystawy. I w rezultacie widz, który tyle słyszał o Picassie, o Picassie, uważanym przez niejednego z naszych krytyków za czerwoną płachtę do drażnienia polskiego byka — staje rozczarowany. Jakto, więc to ma być ten słynny artysta, twórca nowych kierunków, wódz awangardy! nie, to jakieś nieporozumienie.

Druga sprawa. Prawie wszyscy wystawiający, to malarze i przedewszystkiem malarze, tylko dodatkowo i często bardzo dorywczo zajmujący się grafiką (np. Renoir, Van

Dongen). Ci, co równocześnie i równorzędnie z malarstwem uprawiają grafikę i stworzyli w niej szereg dzieł wartościowych, przeważnie są słabo reprezentowani, jak np. Marie Laurencin, autorka wielu czarujących litografij, akwafort i ilustracyj książkowych, wymieniony już Picasso (poza malarstwem raczej rysownik, niż grafik) i t. d. Akwaforcistów Gromaire'a i Vergé-Sarrat'a reprezentują na wystawie ich rysunki i akwarele. Na tle ogólnej gmatwaniny wyróżnia się piękny, razem umieszczony i dający dokładne pojęcie o artyście, zbiór prac Foujity. Z naciskiem podkreślić muszę, że wszystkie, będąc kombinacją technik metalorytniczych (kolorowane na płycie) są bezpośrednio „od a do z" wykonane przez artystę. Zaliczyć je możemy do prawdziwych majstersztyków grafiki kolorowej. Zaznaczam to, bo prace Chagalla, Utrilla, Vlamincka, Kislinga i Waroquiera, oznaczone w katalogu jako kwasoryty kolorowe, n i c w s p ó l n e g o a n i z o r y g i n a l n ą g r a f i k ą, a n i z w y m i e n i o n y m i a r t y s t a m i n i e m a j ą. To jest mają tylko o tyle, że są kopjami ich obrazów olejnych, lub akwarel, wykonanemi zupełnie przez kogo innego (biegłego technika-rzemieślnika). Jedynym celem takich kopij jest wszystkiemi dostępnemi środkami możliwie idealne zimitowanie techniki obcej grafice. Nie podanie tego do wiadomości ogółu we wstępie do katalogu muszę uważać za zwyczajne oszukiwanie publiczności. Na podstawie właśnie takich graficznych reprodukcyj dzieł malarstwa, p. Sterling opowiada o „malarskim charakterze francuskiej grafiki". Nie należy wymagać, aby p. Sterling orjentował się w tej dziedzinie tak jak np. piszący te słowa (grafik z zawodu) i nie mielibyśmy mu tego za złe, gdyby siedział cicho, skoro jednak chce nas uczyć (bo taki charakter ma wstęp), to niechże sam coś umie. Nasze społeczeństwo nie odznacza się zbyt wielką kulturą plastyczną, a już co do grafiki — znajduje się poprostu w okresie niemowlęctwa. Wstęp p. Sterlinga nietylko nie spełnia roli popularnej, lecz fachowej informacji (tobyśmy nazwali złem biernem), przeciwnie, szkodzi i dezorjentuje szerszy ogół szeregiem fałszywych wiadomości. Pomijam jego koncepcje historyczne o różnicach między grafiką niemiecką, a francuską, na ten temat możnaby jeszcze dyskutować, ale gdzieidziej; chodzi mi o fakty z zakresu historji grafiki, któremi p. Sterling suto nas częstuje. „Nie należy sądzić że sztuka francuska nie znała drzeworytu (niema obawy, nie sądzimy, przypisek) ale nie ulega wątpliwości, że technika drzeworytnicza nie była dominującą (toby można powiedzieć, ale właśnie o miedziorycie franc. XV w., przyp.). W wieku XV-tym, kiedy drzeworyt w Niemczech był już nietylko (?) ilustracją książki, ale samodzielną dziedziną twórczości, we Francji zaczynał dopiero rywalizować z barwną iluminacją książki". W ostatniem zdaniu, dość krótkiem, zdążył jednak p. Sterling aż dwukrotnie sfałszować historję. Przedewszystkiem powiedzenie: „W wieku XV drzew. w Niemczech był j u ż n i e t y l k o ilustracją książki, ale i samodzielną..." i t. d. oznacza, że według p. Sterlinga naprzód powstał druk, potem ilustracja w książce, w końcu oddzielny drzeworyt. Niestety, bardzo mi przykro, było wprost przeciwnie. Najstarsze są oddzielne ryciny ksylograficzne, tuż obok musimy zanotować książki ksylograficzne (tekst i obraz cięte w jednym klocku drzewnym), później wynaleziono druk, następnie zastosowano w nim ilustrację drzeworytniczą. Dalej S. pisze, jak to już w Niemczech wszystko pięknie, ładnie, a we Francji jeszcze nic. Niestety i tu nie miał szczęścia. Do dziś uczeni obu krajów spierają się, komu przypada honor ojcostwa drzeworytu, Francji, czy Niemcom. O to się już tylko spierają, reszta jest powszechnie znana: drzeworyt rozwijał się w obu krajach jednocześnie. Najstarsze dotąd znane zabytki ksylografji, tak zwane *„Bois Protat"* (1370 lata) są właśnie pochodzenia francuskiego. Nie mam zamiaru wyszukiwać wszystkich gaff niefortunnego autora katalogu, kończąc wyłapuję mimochodem jedną: „Jacques Callot i Claude Lorrain pozostawiają (według p. Sterlinga) swoją spuściznę artystyczną w y ł ą c z n i e w m i e d z i o r y t a c h". Ejże? czy w miedziorytach? Niechże pan jeszcze raz zajrzy do książeczki, panie Sterling...

WIKTOR PODOSKI

Umieszczam w *post-scriptum* kilka luźnych uwag:

Wśród oryginalnej „grafiki" znajduje się i reprodukcja foto-mechaniczna (znakomity światłodruk) z pejzażu gwaszo-temperowego Lhoté'a (IV 71).

Współczesna grafika francuska ściśle się wiąże z książką wytworną. Właśnie w niej znaleźć można najlepsze i najciekawsze przykłady grafiki francuzów. Wystawa tego również nie uwzględnia.

Osobom conieco się orjentującym, nawet tak źle zorganizowana wystawa nie zamąci zbytnio ich już ustalonych pojęć, a satysfakcję może im sprawić obejrzenie akwatint Foujity, litografji Rouaulta i Chirico, tęgiej akwareli Vlamincka, rysuneczku Pascina, ukrytego za stołem i jeszcze paru rzeczy.

Pan Sterling wszystkie grafiki kolorowe nazywa kwasorytami. Uwaga! nie dajcie się wziąść na ten kawał.

Układ graficzny katalogu wystawy: Stanisława Chrostowskiego. Zręczna wydłużona kolumienka, składana Cochin'em, przypomina francuskie druczki 18-go wieku. Karta tytułowa ładnie wyczuta w proporcjach.

*

Równocześnie z wystawą Weissa, resztę sal w Zachęcie zajęli „Trzej panowie S.". Mówiąc dokładniej są to: Siciński, Sipiński i Śliwiński. Pierwszy z nich wystawił 82 szkice architektoniczne. Przeważają projekty rozmaitych szkół (rolniczych, państwowych, powszechnych) sierocińców i t. p. Wiele z tych projektów zostało już zrealizowanych. P. Siciński należy do przedstawicieli starszej szkoły architektów, prace jego nie pretendując do rozwiązywania zagadnień współczesnego budownictwa, utrzymane są w powszechnie znanym i mile widzianym stylu tak zwanego popularnie „polskiego baroczku".

Dobrym, choć zapewne przypadkowym, pomysłem Zachęty musimy nazwać zbiorowy pokaz projektów dekoracyj teatralnych St. Śliwińskiego. Szersza publiczność oglądała już je *in natura* w teatrach Polskim i Małym. Zetknięcie się z niemi w innych warunkach i atmosferze działa pouczająco i daje sposobność do bliższego zapoznania się z procesem pracy i samem *„métier"* teatru. Można też robić porównania między poszczególnemi koncepcjami dekoracyjnemi, a zbiorowe ich zestawienie ułatwia poznanie indywidualnego oblicza artysty-dekoratora. Niestety, szersze rozważania na ten temat przekraczałaby ramy skromnego sprawozdania kronikarskiego. Tutaj pozwolę sobie tylko zauważyć, że jak i na linję repertuaru wpływa nieraz wybór sztuk kasowych, tak też i wzgląd na „kasowość" może zaciążyć nad dekoracją. Pan Śliwiński wolałby zapewne robić dekoracje do takich tylko sztuk, jak „Legjon" Wyspiańskiego, lub „Hamlet", cóż kiedy życie zmusza i do innych rzeczy.

P. Sipiński wystąpił ze zbiorem pejzaży. Poza ogólną rzetelnością istnieje jeszcze tak zwana rzetelność artystyczna, obowiązująca naturalnie tylko artystów. Niestety i sama nazwa i jej znaczenie zdają się być p. Sipińskiemu zupełnie obce. Ponieważ p. Sipiński nie traktuje swojej pracy poważnie, nie możemy też brać jej całkiem na serjo.

W. P.

TEATR

NOWACZYŃSKI O ŻONACH

ADOLF Nowaczyński sprzeniewierzył się znowu publicystyce na rzecz teatru. Głośnem zdarzeniem artystycznem w Poznaniu i w Warszawie były premjery jego najnowszej komedji „O żonach złych i dobrych". Komuż, jak nie czytelnikom „Myśli Narodowej", którzy go stale czytują, należy się relacja o tym triumfie scenicznym? W Warszawie wystawił tę komedję teatr Narodowy w doskonałej obsadzie, pod reżyserją Ludwika Solskiego, w dekoracjach Drabika.

Komedja obyczajowa współczesna, gęsta od ludzi (6 kobiet, 10 mężczyzn oprócz komparsów) i scen, wrząca humorem i ruchem, w smaku (co było niespodzianką) w miarę dobroduszna, ludziom życzliwa: 4 akty = 4 godziny.

Nowaczyński jest w tej komedji moralistą — karci złe obyczaje kobiet dzisiejszych. Trzeba czasami zająć się tą sprawą. Zatroskani sprawami publicznemi, zresztą sami chętnie szukający słodyczy w lekkiej zabawie, lekceważymy, pobłażamy, niedowidzimy, a tymczasem zły obyczaj, jak grzybek, toczy ściany domu.

Kwestja złej i dobrej żony stara jest jak świat, choć fasony bywają różne; teraz jednak komplikuje się wskutek równouprawnienia kobiety w sferze życia cygańskiego. Nowaczyński zajrzał do pałacu podmiejskiego, gdzie się bawi pospołu z artystami arystokracja. Dwa dalekie pozornie światy zbratały się obyczajowo, a połączenia tego dokonały aktorki, z któremi chętnie się żenią panowie z arystokracji.

Jest w tem pewna rewolucyjność socjalna, ale nie sięgająca ustroju, opartego na rodzinie. Oczywiście rodzina owiotka, ale formalnie czyniąca ustrojowi zadość, nie gorsza

w tych czasach od każdej towarzysko poprawnej. Nowaczyński bynajmniej nie ma za złe, że aktorki idą do pałaców; owszem udowadnia, że jeżeli co w tem *coctail*'u towarzyskim jest wartościowego — to aktorki.

Stosunki towarzyskie nowoczesne, nie krępowane przesądami stanów społecznych, pozostawione wolnej grze upodobań, odznaczają się pewną szczerością — socjologiczną. W tym wypadku zawiązują się pod hasłem: artyści wszystkich stanów łączcie się! Jeżeli cechą życia artystów jest pewne abstrahowanie się od nudnej rzeczywistości, niepraktyczna i niefrasobliwa gra popędów i naturalistyczny hedonizm w poszukiwaniu stanów dobrego samonczuwania się, — to na tym gruncie artyści braćmi są tych wszystkich, którzy z używania życia czynią sztukę.

Próżniaczy, niefrasobliwy, hedonistyczny żywot pewnego gatunku ludzi bogatych, jeśli ma swój styl, jest swego rodzaju artyzmem. Nie można tego upatrzeć w życiu plutokracji, zwłaszcza „nuworiszów", bo dla nich jest właściwie męką, to co dla stylowych jest wolną twórczościa dnia bieżącego. Sztuka życia towarzyskiego wogóle ma cechy psychologiczne artyzmu; w sferze zaś arystokracji, gdzie talenty dziedziczne są przekazywane i od dzieciństwa w każdym hodowane, dochodzi do mistrzostwa. W każdym razie podłoże psychiczne w tej sferze na stałe jest takie, jak między artystami zawodowymi w stanie cygańskim.

W społeczeństwie jest jeszcze jeden punkt socjologicznie podobny, mianowicie świat apaszów. Beztroskliwość i brak motywu społecznego czynią ten świat zupełnie wolnym, mimowoli wytwarzającym cechy życia artystyczne — sztuka dla sztuki. Tam się klei doskonale kabaret.

Sprawdzić można słuszność tej analogji odczynnikiem politycznym. Jako grupy bez celu społecznego wszystkie trzy dają się łatwo użyć do celu narzuconego. Na wezwanie do „współpracy", poparte forsą, staną wszystkie trzy grupy: 1) jako elita, 2) jako genjusz, 3) jako bojówka.

Przypomnijmy sobie, ile razy w teatrze nowoczesnym figuruje apasz na scenie jako osoba zupełnie sharmonizowana duchowo z otoczeniem właśnie tych dwu pierwszych kategoryj. Shaw ma doskonałe poczucie tego zjawiska socjologicznego. W jednej z ostatnich swoich sztuk („Dom serc złamanych") wprowadził do wykwintnego towarzystwa włamywacza i ten potraktowany bez zdziwienia, był w sztuce — owszem — głosem sumienia i morału. W innej sztuce („Niedobrana para") Shaw wprowadza akrobatkę z cyrku, aby towarzystwu zdegerowanemu pokazać wzór człowieka.

Nowaczyński wprowadził bosonóżkę Stefę z Bugaja, „golaskę" z zespołu „Kahane Girls", jako wzór niewinności, wdzięku, charakteru i zasad. Nowaczyński ożenił Shawa z tradycją komedji polskiej, więc nie jest tragiczny, jak tamten. Ma świadomość, że zły obyczaj cygański w Polsce ściśle się lokalizuje, nie jest zjawiskiem powszechnem i że nawet z tej efektownej, ale niebezpiecznej kombinacji próżniactwa zamożnego z cyganerją artystyczną człowiek wychodzi zwycięsko o tyle tylko, o ile uratuje w sobie godność reprezentanta pracy, a więc w tym zespole ten, kto miał w sobie coś twórczego, był istotnie artystą.

Pierwiastek pracy twórczej uosobiony w byłej artystce Żanecie Firley, czyni duszę piękną. On stwarza prawdziwą arystokrację, a życiu daje ład-ność. To jest sztuka życia. A wszystko inne, co z próżniactwa jest i użycie bierze za cel bytu, próżno się stroi pozorami służby dla piękna. Rozkładem jest i apaszonerją.

Nowaczyński bystro patrzy i wielkie ma zapasy obserwacji; we wszystkiem co pisze, istny róg obfitości. Niesie go rumak temperamentu, — rzekłbyś — *cow-boy* z arkanem. Kto inny ustawiłby statyw nieruchomo i byłby klasyczny; on zdjęcia robi z konia. Linja nie zawsze równa, przelotne spostrzeżenia, które go śmieszą, gromadzi tłumnie — w poważnym nieraz zamiarze, a jednak drgające śmiechem wewnętrznym.

W zawiesistej, napęczniałej od materjału, czteroaktowej komedji o żonach złych i dobrych dał nam kilkanaście typów, uposażonych w wyraziste rysy. Że dusza tego urodzodzonego satyryka łaknie widoku postaci o czystych linjach, mamy dowód w doskonałych figurach scenicznych pani Buni, Żanety, Stefy, Frusia. Natomiast p. Dorę Staroświęcką tak na czarno zrazu zrobił, że nawet po nawróceniu nie jesteśmy pewni tej Magdaleny, czy nie szukała w lesie przygody z p. Gasztołdem z Wilna. Jakoś nie budzi wiary jej spowiedź z papierosem w ręku, ani to, żeby grzyby postawiły ją tak odrazu na nogi. Nowaczyński uśmiał się za to dowoli, tworząc figury malarza Bondarczuka i prof. Gasztołda. Mazur ks. kanonik Jackowski i kresowiec z Litwy prof. Gasztołd — pierwszy ze swoją ideją wina z żyta, a drugi grzybów, jako podstawy ekonomiki społecznej — należeć będą do przepysznych wzorów polskiego humoru.

Wykonawcom teatru Narodowego należą się słowa pochwalne. Było, co mogło być najlepszego. Solski grał księdza Jackowskiego w sposób mistrzowski. Rej w sztuce wiodła znakomita artystka p. Ćwiklińska w roli Żanety Firleyowej. Krytyk A. Siedlecki nazwał ją Żółkowskim naszych czasów; istotnie ta ranga jej się należy. Role Nowaczyńskiego nie są zmyślone, skoro tak dobrze pasują do ludzi. Kobiece role, które tak trudno utrafić, jak suknię, doskonale przylegały do p. p. Jasińskiej (Melsztyńska), Larys-Pawińskiej (Staroświęcka), Lindorfówny, Halskiej. Kobiety wydobyły się na plan pierwszy, co było w intencji autora. Wśród mężczyzn żywioł komiczny reprezentował w sposób niepomiarkowany Węgrzyn, wynagradzając sobie przymusy patetyczne w innych rolach.

Nie jest tak źle z polską twórczością teatralną, skoro w ciągu miesiąca na scenach warszawskich ukazać się mogły trzy doskonałe komedje: Miłaszewskiego, Nowaczyńskiego, i Maszyńskiego. Sztukę trzeciego z nich postaram się zobaczyć (zajęcia mi nie pozwoliły być na premjerze) i wrażeniem się podzielę.

Z. W.

NA MARGINESIE

Każda rzecz, planowana jako festyn, powinna mieć swoją estetykę. Pod tym względem nawet w obozie najbliższych przyjaciół Piłsudskiego podzieliły się opinje co do pomysłu niespodzianki imieninowej w postaci 5 miljonów kartek pocztowych z wizerunkiem solenizanta, przeznaczonych do wysłania na Maderę na d. 19 marca. Mianowicie estetyka tego rodzaju wiązania szwankuje pod względem nieproporcjonalności wysiłku do wartości daru. Jedna kartka mogłaby zrobić przyjemność solenizantowi ze względu na portret, ale 5 miljonów! Imponowanie ilościami ma w sobie coś bardzo... amerykańskiego, ale w złym guście. Czy może zrobić przyjemność dar tak nieprodukcyjnie kosztowny? Kartki są sprzedawane po 25 gr., więc społeczeństwo wydać ma na nie 125 milj. gr. Opłata pocztowa po 30 gr. wyniesie 150 milj. gr. Razem 275 milj. gr., co się równa 2.750.000, bez mała 3 milj. zł. Zyska poczta? Tak, ale nie wyłącznie polska. I to wszystko na to, aby solenizant jedną kartkę włożył do albumu. Pomysłowi towarzyskiemu zbywa na estetyce gospodarskiego i społecznego rozsądku. Wschodni romantyzm Sieroszewskiego podał rękę poczciarskiej fantazji p. Miedzińskiego: A nadto należałaby się jeszcze odpowiedź na pytanie, na co przeznaczono zysk z rozprzedaży kartek po 25 gr., conajmniej 20 gr. na kartce.

*

Parę aforyzmów, przysłanych z Pomorza:

Bić albo nie być — oto pytanie.

Sanacja — to inflacja moralna. Ostatnia w niepodległej Polsce.

Nie może dać narodowi zadośćuczynienia, kto przez czyn popełniony stał się niezdolnym do dania satysfakcji honorowej.

Sanacja nienawidzi Prawdy, bo ta nie staje na baczność.

Sanacja niesie narodowi kaganiec, ale nie oświaty.

Co to za generacja doszła do głosu? Degeneracja.

W czasach dewaluacji moralnej złotówka nabiera wagi orderu.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.